Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 22-23 | Piątek, 1 maja, 1942. | Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

NA POLU WALKI

OSTATNIE wiadomości z kraju przyniosły nową listę przywódców Stronnictwa Narodowego rozstrzelanych lub zamęczonych w obozach koncentracyjnych przez Niemców. Nie pierwsze to i nie ostatnie straty, jakie poniósł Obóz Narodowy w czasie wojny obecnej . Zrazu złożyliśmy niemałą daninę krwi, walcząc w szeregach armji polskiej z najeźdźcami we wrześniu 1939 roku. Potem ginęli narodowcy gęsto w kraju, zwłaszcza na ziemiach zachodnich (trzy czwarte prezesów powiatowych na Pomorzu, wielu w Poznańskim i na Śląsku, zostało rozstrzelanych w pierwszych tygodniach okupacji), w Warszawie, Krakowie, Zamościu, Lwowie, Wilnie. Wreszcie nie brak poległych narodowców na polach Francji, Norwegii, w bitwie o Anglię i w Libii. Zdawałoby się, że oswoiliśmy się już ze stratami, że przyjmujemy je z martwą obojętnością, że, jak automaty, rejestrujemy jeno nowe ofiary.

A jednak . . . Każda taka wieść zwłaszcza jak ostatnia, budzi w nas głuchy bunt, że to właśnie oni, ci najlepsi, najbliżsi, najwierniejsi, najodważniejsi. Dlaczego oni? — chciałoby się krzyczeć na cały świat. Rozum tłomaczy, że tak być musi. Stronnictwo Narodowe, które — obok innych, godnie z nim współzawodniczących ruchów ideowych — dźwiga ciężar walki z okupantem, obejmuje jak żadne inne swymi wpływami cały kraj i masy młodzieży, musi oczywiście ponosić największe straty. A jednak . . . Bunt wzmaga się, ból chwyta za gardło. Chciałoby się za Mickiewiczem wadzić nawet ze Stwórcą — co tak okrutnie nas doświadcza — poto, ażeby stwierdzić wreszcie ludzką bezsiłę wobec śmierci i z rezygnacją Kochanowskiego poddać się wyrokom Bożym.

Niezmierzone musi być zło i niegodni ci żywi. którzy z nim walczą, skoro tylu i to takich ofiar trzeba, ażeby je przemóc.

Nie czas obecnie pisać życiorysy tych, za których dusze modliliśmy się w Londynie w zeszły poniedziałek. Każdy z nich zasługiwałby na dłuższe wspomnienie, a niejeden doczeka się obszernej monografii. Z różnych powodów poprzestaniemy dziś na krótkich wzmiankach, ażeby choć w ten sposób przypomnieć kogo straciliśmy.

Witold Staniszkis, wice-prezes Zarządu Głównego i Członek Komitetu Głównego Stronnictwa Narodowego, poseł na Sejm, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, doskonały znawca spraw rolnych, człowiek obdarzony niezwykłą wprost energją i żywotnością. Imponował nam zawsze ruchliwością, pracowitością i oddaniem sprawie narodowej. Pasja praktycznego działacza brała w nim górę nad teoretycznymi dociekaniami. Nigdy nie miał czasu dla siebie, pochłonięty sprawami publicznymi. Pamiętam, jak przed wojną przychodził do naszego lokalu w Alejach Jerozolimskich z rękopisem pracy z zakresu swojej specjalności, którą musiał ukradkiem jakby pisać wśród innych zajęć i jak, śledząc bystro obrady Zarządu Głównego, wpadał nieraz z impetem na młodszych, wytykając im niedość gruntowne przygotowanie jakiejś akcji lub nieumiejętne jej przeprowadzenie. Iskrzyły mu się wtedy oczy, ubywało lat, i stateczny profesor przedzierżgał się nagle w bojownika, z litewskim uporem i z młodzieńczą energją walczącego o ideały, którym całe życie służył.

W pamiętnym wrześniu, kiedy po wycofaniu się naszych wojsk z Ciechanowa, gdzie po zmobilizowaniu zostałem skierowany, przechodziliśmy przez Warszawę, prof. Staniszkis żegnał mnie z serdecznym smutkiem ,przeczuwając jakby, że to ostatnie nasze zetknięcie. Po zajęciu Warszawy przez Niemców prof. Staniszkis, który zasiadał podczas oblężenia w Komitecie Obrony Stolicy, rzucił się w wir pracy charytatywnej i z niezwykłą pogardą grożących mu niebezpieczeństw, trwał na posterunku aż do chwili wywiezienia go do obozu koncentracyjnego.

Przywiązany do Stronnictwa Narodowego i wierny mu aż do zgonu rozumiał, że siłą naszego ruchu jest ciągłość historyczna i wiązanie różnych wiekiem pokoleń od najstarszych do najmłodszych.

Roman Rybarski, członek Komitetu Głównego i dokooptowany członek Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, były wiceminister skarbu, prezes sejmowego Klubu Narodowego, dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego,

wytrawny pisarz i publicysta. Dwukrotnie przyszło mu walczyć z Niemcami i w czasie wojny poprzedniej redagował w Krakowie "Rok Polski", który służył idei odbudowania państwa polskiego w oparciu o koalicję z Anglią i Francją na czele, a obecnie rozwijał z właściwym mu młodzieńczym temperamentem wszechstronną działalność polityczno-społeczną w Warszawie. Pozostawił po sobie bogatą spuściznę naukową i polityczną. Samo wyliczenie dzieł, które napisał, zajęłoby sporo miejsca. Celował zwłaszcza jako autor monografij z zakresu dziejów gospodarczych Polski. Jego gruntowne studia historyczno-ekonomiczne o handlu polskim w wieku XVI-tym i o skarbowości polskiej w okresie Sejmu Czteroletniego zjednały mu duże imię w nauce polskiej. Ponadto wydał szereg podręczników uniwersyteckich, poświęconych ekonomii i skarbowości. Z prac politycznych jego "Naród, jednostka i klasa" jest ciągle klasycznym dziełem w tej dziedzinie. Profesor Rybarski umiał, jak mało kto, łączyć poważną pracę naukową z rozległą działalnością polityczną. Świetny mówca parlamentarny był postrachem ministrów skarbu, których zadziwiał wnikliwą analizą budżetu i ciętymi uwagami o całości polityki rządowej. Pochodził z kół żywieckiego mieszczaństwa i całe życie walczył o należne polskiemu stanowi średniemu miejsce w życiu państwowym i narodowym.

Wreszcie cała poznańska plejada młodszych z Antonim Wolniewiczem, Stefanem Chojnackim, Mieczysławem Frankowskim, Józefatem Sikorskim, Włodzimierzem Krzyżankiewiczem i Józefem Przybyłą na czele oraz starszy od nich wiekiem, zasłużony działacz, dr. Stefan Piotrowski. Ileż zapału, energii i odwagi dawali ci najmłodsi przywódcy w walce z najeźdźcą. Poznański zmysł realizmu, który posiadali na równi z innymi, nie zabił w nich junackiej fantazji. Cała Europa zginała kolana przed zwycięskimi Niemcami, a im — poznańskim rogatym duszom marzyła się Wielka Polska od Odry do — linii Dmowskiego na wschodzie. Nic to, że dokoła szalało krzyżackie okrucieństwo, że ziemie zachodnie włączone do Rzeszy niszczono ogniem i mieczem — oni wierzyli, walczyli i ginęli, przekazując innym, jakby z pod ziemi wyrastającym szeregom, czujną troskę o sprawę narodową. Rozstrzeliwani młodzi poznańczycy, pomorzacy i ślązacy to widomy znak przynależności ziem zachodnich do Polski i zapowiedź, że nietylko te ziemie, które należały do nas przed wojną, ale i inne piastowskie dzierżawy, w czasie tamtej wojny nie włączone jeszcze w granice państwa naszego, wrócą w wyniku obecnej wojny do Polski.

Nieraz w czasie wędrówki wojennej z kraju do kraju, a zwłaszcza po klęsce Francji zadawano mi z lękiem pytanie: czy nas Niemcy nie wyniszczą, czy przetrwamy? Problem ten i dziś zaprząta uwagę tych, którzy z przerażeniem patrzą na ogrom strat, jakie naród ponosi. Kto poprowadzi walkę, kto zbuduje nowe polskie życie — pytają trwożnie.

Narodu w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, a więc obejmującego wszystkie warstwy, z dojrzałą świadomością narodową większą nieraz na dole niż u sfer górnych, zniszczyć się nie da, nawet stosując tak nowoczesne środki tępienia, jak czynią to obecne Niemcy. Dodajmy, że i Niemcy się zużywają, okupując tak rozległe terytoria, że i Niemcy tracą swój najlepszy zapas ludzi w wojnie z Rosją. I dlatego twierdziliśmy i twierdzimy, że Polska nie zginęła i nie zginie. Na miejsce tych, którzy legli w obronie Ojczyzny, wyrosną nowi działacze, nowi przywódcy. Nie martwmy się, jeżeli nie będą mieli chwilowo ukończonych uniwersytetów. Wyjdą oni z mas narodowych, skończą twardą szkołę życia, zahartują się w walce i poprowadzą naród nasz do wielkiej przyszłości wraz z tymi, którzy nie stracą na emigracji łączności duchowej z krajem a przeciwnie, wzbogacą swoją wiedzę i doświadczenie.

Wielki to naród, za którego sprawę tak ochoczo ludzie umierają. Ilekroć z przekąsem mówią nam, że jesteśmy romantykami, odpowiadajmy: tak, i radzimy ażeby i inni, nie tracąc gruntu pod nogami, zarazili się nieco takim romantyzmem, bo inaczej wojnę wygrać będzie trudno.

Tak patrząc na surową rzeczywistość, chociaż przeżywamy ciężko każdą nową wieść o śmierci najbliższych, nie toniemy w zgryzocie, jeno patrząc w kraj, jego drogę krzyżową, staramy się tutaj, na emigracji, dźwigać politykę polską na poziom, któryby nie przynosił wstydu tym, co tam giną. Walcząc o samodzielną politykę polską, godną wielkiego narodu, najlepiej czcimy pamięć zmarłych i poległych w kraju, najprościej wypełniamy nasz obowiązek wobec Ojczyzny.

T. B.

Marian Emil Rojek

OSOBOWOŚĆ POLITYCZNA POLSKI w tej wojnie

Z PUNKTU widzenia polityki polskiej położenie nasze w tej wojnie różni się zasadniczo od położenia w czasie wojny poprzedniej. Wtedy Polska nie istniała w świadomości Europy i świata jako pojęcie prawne i polityczne, a jako pojęcie geograficzne nie miała nigdy dla swojej afirmacji tych warunków fizykalnych, które zmusiły w XIX wieku Metternicha do przyznania, że Włochy to jednak przynajmniej pojęcie geograficzne. Nasza Ojczyzna nie miała za sobą nigdy argumentu Alp ani Morza opływającego dookoła granice.

Ale też dla Polski najlepszą fortalicją były zawsze mężne serca polskie. Więc też i pokolenie lat 1914–18 zdołało zespolić swoje wysiłki z owocami walk i prac wszystkich pokoleń poprzednich, walczących o niepodległość od pierwszych rozbiorów. My po nich wszystkich uzyskaliśmy Państwo Polskie i do wojny 1939 roku weszliśmy już nie jako tylko ruch niepodległościowy, nie jako Komitet Narodowy, nie jako Legiony lub jakiś Korpus Posiłkowy dla Sprzymierzonych, ale jako Państwo, Naród, Rząd i Wojsko polskie.

Trzeba o tym ustawicznie pamiętać, bo ostatecznie za to przelaliśmy krew we wrześniu 1939 roku i za to naród nasz krwawi od tej chwili nieustannie z niezliczonych ran, zadawanych mu przez najeźdźcę. Gdybyśmy to zatracili, znaczyłoby to, żeśmy zmarnowali wysiłki, krew i ofiary życia i mienia nie tylko ostatnich lat dwudziestu pięciu, ale i pokoleń poprzednich, które w walce nie ustawały.

Nie wolno więc nam nic z tego, co było polskie w 1939 roku, uronić. Nie tylko nie wolno uronić ani stracić na rzecz wrogów, ale też nie wolno tego pełnego obrazu Polski osłabić w naszych umysłach i sercach, bo wszelka klęska zewnętrzna zaczyna się zawsze od klęski wewnętrznej, od zwątpienia w uczuciu, albo od obałamucenia umysłu.

Nie ulega wątpliwości, że ani takie zwątpienie ani obałamucenie nie grozi masom polskim w kraju ani na emigracji. Naród polski to nie tylko jeden z najtwardszych, ale i najbardziej roztropnych narodów w Europie. Jest to naród mądry nie mędrkowaniem oderwanych od podłoża inteligentów-teoretyków, ale głębokim instynktem narodowym, ową mądrością wieków, wzbogaconą o idealizm wiary, realizm w ocenie zjawisk materialnych i praktyczność metody działania.

Naród ten jednak nie dysponuje jeszcze odpowiednią warstwą kierowników i przywódców politycznych na wszystkich szczeblach życia narodowego. Nie czas jeszcze na ogłaszanie całkowitej oceny personażu naszej polityki oficjalnej na emigracji w czasie obecnej wojny. Gdyby na tym materiale jednak przeprowadzić studia i ogłosić następnie wyniki — wyszłyby na jaw rzeczy bardzo ciekawe. Szczęśliwszy o wiele pod tym względem jest naród angielski. Jest to naród dobry, dzielny, praktyczny w sprawach prywatnych i zaradny we wszystkich problemach. Trzeba jednak powiedzieć, że ma dość mgliste pojęcie o polityce europejskiej. Oddzielony wodami od

narodów europejskich, a stykający się w swoich posiadłościach zamorskich z ludami pierwotnymi lub starymi lecz pozostającymi w zastoju — przynajmniej dotąd — cywilizacjami, naród angielski odznacza się daleko posuniętą prostotą pojęć politycznych. Naród ten jednakże ma wyrobioną warstwę kierowniczą, która popełniwszy nawet błędy, umie zorientować się na czas i wyciągnąć odpowiednie wnioski ku reformie i poprawie. Tradycyjna mądrość państwowa angielska ześrodkowana jest w stronnictwie konserwatywnym, ale postawa i orientacja wszystkich przywódców Labour Party, którzy wyszli z szeregów praktycznych dziełaczy robotniczych, może służyć za wzór patriotyzmu i zrozumienia interesów własnego państwa wszystkim politykom, a już szczególnie politykom t.zw. stronnictw lewicowych na kontynencie.

Niestety, naród polski uszczęśliwiony jest czasem luminarzami polityki na poziomie . . . niepokojącym. Dość wspomnieć tego profesora, który przedzierżgnął się ostatnio w dyplomatę, a który udowadniał w dniu 8 sierpnia 1941 w oficjalnym "Dzienniku Polskim," że hipoteza pozostawienia otwartym problemu polskich granic wschodnich w układzie lipcowym nie przedstawia się dla Polski niekorzystnie, gdyż zawiera w sobie możliwości rozszerzenia naszych granic na wschodzie!

Nie chcemy tedy charakteryzować tu warstwy kierowniczej, jaką nas losy obdarzyły na emigracji, gdyż **publicité** takiej charakterystyki mogłoby zaszkodzić polskim interesom państwowym. Profesor-dyplomata nie jest pod tym względem żadnym wyjątkiem, gdyż zdarzają się podobnie mądrzy i profesorowie-ministrowie i ministrowie zgoła nie profesorowie — na takim samym poziomie politycznym!

Nic więc dziwnego, że w samodzielnie funkcjonujących umysłach polskich budzą się obawy, czy ta warstwa kierownicza zdoła utrzymać i podtrzymać osobowość prawną i polityczną Państwa Polskiego w czasie tej wojny. A jest to rzecz bardzo ważna, gdyż tylko na dotychczasowym fundamencie można odbudowywać gmach Rzeczypospolitej, a gdyby fundament zburzono, znajdziemy się wtedy w szczerym polu huczących wichrów, przed którymi nie znajdzie sprawa polska ochrony.

Najistotniejsze zaś dziedzictwo naszej państwowości, zdobyte w wojnie poprzedniej i włożone nam na barki do utrzymania, to **nasza suwerenność państwowa i integralność naszego terytorium państwowego.** To są dwie wartości, o które walczy z wrogiem Kraj i Wojsko nasze, a które my mamy wobec Sprzymierzeńców zachować nieuszczuplone i posłużyć się nimi do odbudowania i powiększenia Rzeczypospolitej.

Rozróżniajmy w tych naszych rozważaniach stan faktyczny od stanu prawnego. Oba te stany istnieją obok siebie i mogą być nawet na czas jakiś od siebie niezależne. Najlepiej jest oczywiście, kiedy schodzą się razem w jednej rzeczywistości. Nie mniej nie można lekceważyć stanu prawnego oderwanego nawet od stanu faktycznego, innymi słowy nie można lekce sobie ważyć prawa do rzeczy czy wartości, której się nawet chwilowo nie posiada. Jedną z istotnych cech cywilizowanych społeczeństw ludzkich jest właśnie prawo, jako czynnik regulujący stosunki ludzkie. Jest to zdobycz tak wielka, iż rezygnacja z niej cofa nas automatycznie niejako do stanu barbarzyństwa.

Niemądre więc są wszystkie gadania o układach i traktatach jako świstkach papieru, gdyż i tak rzekomo wszystko regulować będzie wyłącznie siła. Nie wszystko bynamniej i nie wyłącznie. O wiele mądrzejszy od takich prymitywnie rozumujących umysłów jest premier sowiecki p. Stalin, który najoczywiściej zdaje sobie sprawę z tego, że los wojny jest zawsze dla każdego uczestnika wątpliwy i że może się zdarzyć, że nie każdy zachowa do konferencji pokojowej wszystkie atuty swojej siły, że więc lepiej jest mieć za sobą te "świstki papieru,"— zwłaszcza że Koalicja Zjednoczonych Narodów głosi hasła prawa i poszanowania umów i zobowiązań. Lepiej i nam wracać do Polski z siłą powołującą się na umowy i traktaty, niż z siłą bez argumentów prawa pisanego. Wystarczy tu zwyczajna wyobraźnia człowieka inteligentnego. Na darcie "świstków papierów" nawet Niemcy nie mogły sobie pozwolić bezkarnie — bo przecież o to toczy się z nimi już druga Wojna Światowa — a zresztą u podstaw naszego poglądu na świat jest moralność, która argumentu "siła przed prawem" organicznie nie znosi. I względy więc utylitarne i względy zasadnicze przemawiają przeciw powierzchownemu operowaniu pojęciami, które doprowadzają do lekceważenia argumentu prawa, choćby tylko pisanego prawa, które w oczach świata najczęściej uchodzi za zgodne z prawem w ogóle.

Na stan faktyczny nie mają wpływu większego rozumowania, lecz działania. Przeciw okupacji Polski przez Niemcy można tylko walczyć zbrojnie i to w połączeniu z całą koalicją antyniemiecką, bo nasze siły by na to nie wystarczyły. Ale w dziedzinie prawnej od nas zależy ostatecznie wszystko, gdyż brak naszej zgody na zmianę danego stanu rzeczy nie może żadnej z tych zmian odebrać **znamion bezprawia.** W tej dziedzinie nie wiele możemy oczekiwać od świata zewnętrznego i najwięcej jeszcze jesteśmy od tego świata niezależni.

I dlatego najwięcej niepokoju budzi minimalizacja osobowości Polski ze strony samych Polaków.

Polska weszła do tej wojny jako suwerenne państwo. Przemoc niemiecka pozbawiła Polskę tej suwerenności nad jej terytorium państwowym — z początku w połączeniu z przemocą sowiecką, a kiedy te siły starły się za sobą, Niemcy opanowały całe terytorium Polski. Pozostała nam zatem z suwerenności tylko jej idea, nasze do niej prawo, za które umierają dziś Polacy w Kraju, na wygnaniu i walkach zbrojnych na dwu — na razie — kontynentach. Jeżeli więc ktokolwiek w czasie tej wojny mógłby był poruszać sprawę ograniczenia czy zniesienia suwerenności narodowej, to w żadnym wypadku nie powinni byli tego robić Polacy, a tym bardziej odpowiedzialni politycy polscy. Cóż by nam bowiem pozostało, gdybyśmy uległszy czasowo Niemcom w walce zbrojnej zagubili ideę suwerenności polskiej nie tyle po drogach lądowych i morskich naszych wędrówek, ile po korytarzach i gabinetach możnych tego świata? Z czymbyśmy do Polski powrócić mogli? Czy by nam w Polsce wybaczono to samobójcze capitis deminutio? Zapewnienia materialnej szczęśliwości roztaczali przed nami i Niemcy, a przecież nie poszliśmy na ich podszepty. A teraz jeszcze pytanie, czy istnieje dobrobyt materialny danej społeczności bez suwerenności narodowej. Gdzież to na świecie widziano?!

Występując w obronie idei polskiej suwerenności nie występuję bynajmniej **ipso facto** przeciw koncepcjom związków międzypaństwowych, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej. Polska powinna odegrać w tych związkach rolę pierwszorzędną. Punktem wyjścia jednak ku tym nowym rozwiązaniom nie może być podważanie idei suwerenności narodowej, ani przez nas samych, ani przez kogokolwiek innego. Nie idea bowiem suwerenności wywołała tę wojnę — wszak chyba o to przede wszystkim chodzi — lecz zwyczajny, ordynarny i łotrowski imperializm niemiecki. Natomiast idea suwerenności właśnie kazała się Polakom bronić przed najazdem i tym samym bronić całego świata cywilizowanego. Punktem wyjścia więc przyszłych związków międzypaństwowych nie może być negatywna zasada niweczenia suwerenności narodowych, ale pozytywna koncepcja bezpieczeństwa zagrożonych. Zagrożenie zaś obejmuje całą Europę, nie godzącą się na niewolnictwo w ramach niemieckiego porządku, i nie ma powodu, dla które by właśnie Polacy mieli zaczynać mówić o rezygnacji z suwerenności. Czy może dlatego, żeby im już nic w rękach nie pozostało?

Nie rozumie tych spraw oficjalna obecna polska "elita," która konserwuje w sobie wiele wad polskich i mało zalet. Jedną zaś z naszych dawniejszych wad było "zastaw się a postaw się," była owa hojność i szczodrość, która ostatecznie może być w pewnych warunkach uznana za sprawę prywatną jednostki, która jednakże mogłaby się stać pożałowania godna, gdyby zaczęła rozdawać dobra społeczne i narodowe.

Idea suwerenności jest czymś istniejącym w świecie pojęć, choć obfitującym w objawy pełne znaczenia realnego. Ale druga istotna cecha osobowości politycznej Polski — jej integralność terytorialna, da się wymierzyć w terenie i na mapie, umieścić w oznacznikach szerokości i długości geograficznej i wyrazić we wskaźnikach ludnościowych, gospodarczych i kulturalnych. Panuje nad tym wszystkim do czasu dziś Niemiec i to jest stan faktyczny, ale my, Polacy walczący o niepodległość pod własnym Rządem i w własnym Wojsku, jesteśmy piastunami stanu prawnego nienaruszalności tego terytorium państwowego. Bez naszej zgody nie uprawni się nigdy żaden zabór i żadna obca pretensja. Więc musimy wystrzegać się bacznie, byśmy nic takiego nie zrobili ani nie oświadczyli, co by nam poczytane być mogło choćby tylko za przyzwolenie na rozmowy, kwestionujące nasze prawa

terytorialne. Nie ma mowy oczywiście o żadnych cesjach i nikt z Polaków o to posądzany być nie może, ale też opinia polska nie może pochwalić naszego premiera nawet za takie oświadczenie, jakie złożył w Ameryce :

"Chwila obecna nie nadaje się do załatwienia przyszłych granic. Wszystko wzajemnie nas dotyczące znajduje się w stanie płynnym" (Mowa na obiedzie pożegnalnym w Pricetown Club w Nowym Yorku — "Dziennik Polski" z dn. 4 kwietnia 1942).

Nie, bynajmniej nie wszystko znajduje się w stanie płynnym. W umysłach Polaków granice Polski w żadnym razie nie są płynne, ale przeciwnie — bardzo stałe. Nie wątpimy, że tak myśli i generał Sikorski, ale też powinien uważać w takim razie na każde swoje słowo. Zadaniem polityków polskich musi być podtrzymywanie przekonania, że granice polskie są stałe, a natomiast, że niemieckie muszą być płynne, bo przecież Koalicja Zjednoczonych Narodów toczy wojnę nie z Polską, ale z Niemcami. Rząd Polski nie może dopuścić, a tym bardziej przyczyniać się do tego swoją polityką, aby obraz terytorialny Polski z 1939 r. zaniknął w świadomości prawnej i politycznej narodów z nami sprzymierzonych, i żeby na to miejsce wytwarzał się obraz zamglony, o konturach zatartych, obraz Polski, której granice trzeba dopiero będzie ustalać w Londynie czy Waszyngtonie.

Polska ma swoje granice. W wyniku obecnej wojny Polska zamierza poszerzyć swoje granice na ziemie sąsiednie na zachodzie i północy, wydarte dawniej Polsce przez Niemcy. W umysłowości polskiej coraz bardziej gruntuje się też idea związków ściślejszych Polski, przede wszystkim z Czechosłowacją i Litwą. Związki takie jednak, jako dobrowolne, zależeć muszą w równej mierze od nas, co i od tych sąsiednich zainteresowanych narodów.

Integralność terytorialna Polski nie może nie być kanonem Koalicji Narodów Zjednoczonych. Więc niezrozumiałą zupełnie dla Polaków byłaby teza : sprawy waszych granic załatwione zostaną pod koniec wojny. Spraw takich do załatwiania być nie może z wyjątkiem spraw z Niemcami po ich pobiciu, i uzyskiwanie jakichś **odroczeń** nie może być celem polityki polskiej. Sprawa polska — powiedział już dawniej Prezydent Roosevelt — jest natchnieniem świata. Nie trudno zgadnąć, czymby natchnął świat taki obrót sprawy polskiej w którymby Polacy mieli się dziś bić, żeby się znaleźć na stole operacyjnym jutro. Nic w statucie terytorialnym Polski nie może być niejasne, nic zamazane i zamglone, nic zanurzone w odmętach jakiegoś fatalistycznego **panta rhei.**

To samo dotyczyłoby jakichkolwiek pomysłów " przesuwania" Polski, gdyby takie pomysły pojawić się miały, gdyby ktokolwiek miał nam proponować : ustąpcie tu, to dostaniecie gdzieindziej. Nie może być mowy o takim stawianiu naszej sprawy. Polska nie może nagle stać się przesuwalna, na kółkach, jakby powiedziano we Lwowie. Tysiąc lat Polacy utwierdzali swoje dzierżawy i w tym tysiącu lat utrwaliło się pewne minimum, od którego żaden Polak odstąpić nie może. Może być mowa tylko o poszerzeniu się na zabrane nam dawniej ziemie przez Niemców na zachodzie i północy, na wschodzie zaś już tyle ustąpiliśmy, ostatni raz w Rydze w 1921 roku, dla zapewnienia sobie dobrego sąsiedztwa, iż jest to kres naszej ustępliwości. Musimy dobrze popracować nad tym, żeby sprzymierzeńcy zrozumieli i uszanowali te najgłębiej w naszych sumieniach i w naszych duszach osadzone prawdy i prawa.

Trzeba więc, żeby wszyscy Polacy mający tytuł do występowania w polskich sprawach publicznych przede wszystkim sami mieli głęboko w sercach i umysłach wyryty obraz Polski, która weszła do wojny i żeby ten obraz nie tracił konturów zasadniczych w miarę upływu czasu.

Wreszcie chodzi o metodę obrony tych naszych największych dóbr politycznych : suwerenności państwowej i integralności terytorium państwowego. Przez złą metodę obrony można przegrać rzecz samą.

Więc przede wszystkim powinna w tej metodzie obowiązywać zasada jawności. My nie chcemy nic potajemnie sprzedać i nie zamierzamy nic cudzego nabyć i dlatego nie dla naszych spraw tajna dyplomacja. Nie znaczy to, żeby nasze organy polityczne, kierownicze i pomocnicze, nie miały jak najbardziej ściśle przestrzegać dyskrecji, która jest podstawowym warunkiem zaufania w rozmowach i rokowaniach. Ale dyskrecja w rokowaniach i rozmowach i tajność w sprawach zasadniczych bytu narodowego, to dwie różne rzeczy. To n.p., że całe społeczeństwo w Kraju i na emigracji stoi na stanowisku integralności naszego terytorium państwowego, **nie może być tajne,** a jeżeliby miało być zatajone, to napewno nie w naszym interesie. My przecież jesteśmy od tego, aby praw Polski **bronić.**

Następnie metoda ta musi odznaczać się jasnością. Nie może tak być, żeby ktokolwiek miał wątpliwości co do tego, o co walczą Polacy. Na przykład, czy walczą tylko o zemstę na Niemcach, czy jeszcze o coś więcej — o Polskę. Dlatego nie są szczęśliwie pomyślane wyrażenia w rodzaju : "gdyby wyniki układu z Rosją miały się ograniczyć tylko do tego, że Polacy otrzymają broń i możność walki jako wolni ludzie z niemiecką zarazą — byłby to już wystarczający argument za układem." Nie, nie byłby to wystarczajacy argument i nie należy przedstawiać Polaków jednostronnie jako fanatyków, którym chodzi w życiu już tylko o zemstę. Nie przyczyni się to do powierzenia Polsce przez odpowiedzialną opinię polityczną świata zadań konstruktywnych, jakie nas czekają. Ale przede wszystkim — takie sformułowanie nie jest jasne. Po kilku takich enuncjacjach przyjaciele ze zdziwieniem rzec by mogli : czegoż jeszcze chcecie, wszak walczycie już z Niemcami? Z naszego zaś punktu widzenia ukaranie Niemców, jakkolwiek bardzo istotne, jest tylko refleksem ostatecznego celu, o który walczymy : o Niepodległą i Wielką Polskę. Jest jasne, że cel ten nie godzi się z żadnymi planami Niemiec i żeby ten cel był osiągnięty, Niemcy muszą być rozgromione.

Ta sama jasność wymagana jest i w innych politycznych sytuacjach. Układy, które zawieramy i oświadczenia, które składamy, powinny się odznaczać całkowitą jasnością, gdyż dwuznaczność i dowolność interpretacji nam w tej wojnie posłużyć nie mogą.

Za trzecią zasadę w naszej metodologii uważamy wzajemność. Nie jest w porządku, jeżeli nasi odpowiedzialni mężowie, ministrowie i ambasadorowie, wygłaszają optymistyczne w najwyższym stopniu opinie o naszym sojuszniku wojennym sowieckim, który ze swej strony milczy o nas całkowicie, bądź nawet w propagandzie radiowej występuje przeciw naszym interesom. Nasz premier wyraził pogląd wobec całej światowej opinii, że Związek Sowiecki zarzucił plany rewolucji światowej, a nasz ambasador w bardzo ważkim momencie rzucił na szale opinii amerykańskiej oświadczenie o wolności religii w Sowietach. Z drugiej zaś strony o tym, co powiedział premier Stalin o Polsce na bankiecie wydanym dla generała Sikorskiego na Kremlu w roku ubiegłym, dowiadujemy się z parokrotnych ogólnikowo pochlebnych wzmianek w wystąpieniach gen. Sikorskiego, a nie z tekstu opublikowanego przez odpowiedzialne czynniki sowieckie. Nie godzi się to bynajmniej z zasadą wzajemności, ani jawności i jasności.

Wreszcie pozostaje czwarta zasada, choć ostatnia w tym wyliczeniu, ale bynajmniej nie ostatnia co do swego znaczenia, zasada poczucia własnej wartości i godności. Ukazują się ostatnio przychylne nam wzmianki w gazetach londyńskich, że po stronie Koalicji Zjednoczonych Narodów piątą z rzędu co do liczebności armią jest armia polska. Pięknie, trzeba o tym wiedzieć, bo czynnik bynajmniej to nie pośledni — taka armia. Ale nie trzeba też zapominać, że był czas, kiedy wojsko nasze w boju było i najpierwsze najliczniejsze. Pamiętając o żołnierzach żywych, nie zapominajmy o poległych. Pierwsi powinni pamiętać o tym Polacy i dopiero potem mogą się domagać stosowania tego jako zasady ogólnej.

A w ogóle wszystkie uwagi niniejsze odnoszą się do polityki polskiej, do stanowiska przez nią już oficjalnie wyrażanego czy też mającego się wyrazić w przyszłości, w jakiejś jednej sprawie czy też w więcej sprawach i zagadnieniach. Chodzi o zasadę : najpierw sami musimy bronić swoich praw i interesów z godnością, taktem i stanowczością i dopiero kiedy pod tym względem nie pozostawimy nikomu ani cienia wątpliwości, możemy liczyć na równie stanowcze poparcie sojuszników i przyjaciół.

Jesteśmy katolikami. Jednym z dogmatów naszej wiary jest wolna wola. Zygmunt Krasiński pisze w Psalmie dobrej woli :

Lecz wolną wolę musiałeś zostawić,
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić.

Podobnie Polski nikt nam nie wywalczy, jeżeli sami wszędzie o nią stawać twardo nie będziemy.

Marian Emil Rojek.

NOTY I UWAGI

OŚWIADCZENIE RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYNIKI podróży politycznej premiera polskiego gen. Sikorskiego do Waszyngtonu nie zostały nigdzie publicznie sprecyzowane, choć wiele o nich publicznie mówiono i pisano. Gen. Sikorski w przemówieniu do Kraju oświadczył, że uzyskał od Rządu Amerykańskiego deklarację "niepozostawiającą najmniejszych wątpliwości." Równocześnie żołnierzom w Szkocji powiedział generał Sikorski, że "elementy najważniejsze" stosowanej przez niego polityki nie mogą być przedmiotem publicznej dyskusji, innymi słowy, że nie może im podać dokładnej treści oświadczenia amerykańskiego w sprawach polskich. Natomiast podał zapewne generał Sikorski treść tego oświadczenia do wiadomości Rządu i Rady Narodowej. Nawiasem mówiąc oba te ciała wyraziły gen. Sikorskiemu: Rada — uznanie, Rząd zaś wdzięczność i gratulacje, i to dwukrotnie, bo raz z Wielkiej Brytanii do Ameryki kablem, drugi raz na posiedzeniu Gabinetu po powrocie.

Pomimo tych kilkakrotnych podziękowań, które wzbudzają wiele zastrzeżeń u myślącej nie po bizantyńsku części polskiego społeczeństwa, nie doszło do takich uroczystości na przyjęcie, jakie miały miejsce po powrocie gen. Sikorskiego z Ameryki w 1941 roku, jakkolwiek wyniki podróży były tym razem o wiele donioślejsze, niż w roku 1941.

O wiele donioślejsze, to nie znaczy jeszcze, żeby były najlepsze. Życzyliśmy generałowi Sikorskiemu jak największych sukcesów w jego podróży, gdyż chodzi tu o sprawy Polski. Nie pragnąc bynajmniej umniejszać poparcia udzielonego przez Stany Zjednoczone naszej sprawie, sądzimy, że przewidująca polityka polska, której nie było, powinna była i mogła by była, uzyskać nie tylko przyjazną postawę samych Stanów Zjednoczonych A.P., tak cenną w naszych dzisiejszych trudnościach, ale i pełne natychmiastowe poparcie dyplomatyczne wobec innych Rządów.

Bo jakkolwiek nie opublikowano oświadczenia Rządu Amerykańskiego, treść jego można wydedukować zarówno z publicznych wystąpień generała Sikorskiego, jak i z rezolucji Rady Narodowej i głosów prasy amerykańskiej i brytyjskiej, zamieszczanych obficie w "Dzienniku Polskim".

Deklaracja amerykańska nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, oświadczył generał Sikorski, informując jednak w tym samym przemówieniu, że: "Chwile obecne są ciężkie, a będą jeszcze cięższe w przyszłości niedalekiej".

Na bankiecie w Nowym Yorku wydanym dla generała Sikorskiego on sam oświadczył:

"Chwila obecna nie nadaje się do załatwienia przyszłych granic. Wszystko wzajemnie nas dotyczące znajduje się w stanie płynnym". W tym samym zaś n-rze "Dziennika Polskiego" (z 4 kwietnia) zacytowano obszernie artykuł w New York Times z 1 kwietnia 1942, pióra pani Anne O'Hara McCormick, w którym czytamy:

"Generał Sikorski na równi z wszystkimi Polakami jest przekonany, że Niemcy są głównym wrogiem. A mimo to oczekiwane jest, że zwycięska Rosja domagać się będzie od Polski terytorialnych koncesji, dla zabezpieczenia swoich zachodnich granic. Aby sprostać takim zagadnieniom, rządy europejskie czynią zabiegi o nową koncesję i nowe wzory bezpieczeństwa, ciążąc ku Waszyngtonowi w poszukiwaniu politycznej, moralnej i wojskowej pomocy w wojnie i na przyszłość. Generał Sikorski uprawniony jest nie tylko jako szef Rządu Polskiego, ale także jako Naczelny Wódz Sił Zbrojnych domagać się, aby w sprawie ziem, o które Polska walczy, nie zapadły żadne ostateczne postanowienia, aż dopóki konflikt nie zostanie rozstrzygnięty".

Na postawie obu tych wypowiedzi, a także na podstawie oświadczenia generała Sikorskiego na Radzie Narodowej, że jego polityka "dała nam możność dalszej obrony najżywotniejszych interesów Rzeczypospolitej" — wnioskujemy, że Stany Zjednoczone odmówiły zarówno swego uznania pewnym pretensjom wobec Rzeczypospolitej jak i swego udziału w odpowiednich aktach politycznych, że jednakże uzasadniły swoje stanowisko nie czym innym, lecz poglądem, że nie czas teraz te sprawy załatwiać.

Wszyscy Polacy cenią sobie jak najwyżej wszelkie udzielone przy tym zapewnienia amerykańskiej przyjaźni, które posłużą nam w przyszłości, gdyby dane pretensje rzeczywiście znalazły się przed szerszym forum mocarstw. Ale za największy sukces uznalibyśmy, gdyby Rząd amerykański odmówił swego uznania i udziału w proponowanych regulacjach nie dlatego, że **jest na to zawcześnie,** lecz dlatego, że wszystkie prawa Polski zawarte są w traktatach przyjętych do wiadomości i **uznanych przez Stany Zjednoczone.** Dla przykładu wspomnimy, że nasze granice wschodnie ,ustalone w Traktacie Ryskim, uznane zostały przez Mocarstwa Koalicji z poprzedniej wojny światowej decyzją Konferencji Ambasadorów z 15 marca 1923, natomiast Stany Zjednoczone wycofawszy się uprzednio z Ligi Narodów i z prac b. Koalicji, uznały te nasze granice osobną decyzją z daty 5 kwietnia 1923. Nie odroczenie bowiem rozpatrzenia sporów, ale oświadczenie, że sporów nie ma, bo uregulowane zostały dawniej w obowiązujących traktatach — powinno było dotąd — i powinno nadal — być celem polityki polskiej.

Z różnych innych wypowiedzi — przede wszystkim generała Sikorskiego — wnioskować można, że w oświadczeniu amerykańskim powołano się na Kartę Atlantycką. Karta Atlantycka jest ważna, jako amerykański i przez innych Sprzymierzonych zaakceptowany i podpisany program rozwiązań powojennych, ale pamiętać trzeba, że byt Polski prawnie nie opiera się na Karcie Atlantyckiej, gdyż Polska i jej prawa są starsze od Karty, za ogólnej zresztą, żeby regulować szczegółowo wszystkie sprawy. Poza tym Karta ma wiele braków, gdyż niedostatecznie rozróżnia między napastnikami i napadniętymi i w pewnych warunkach mogliby pobici Niemcy szermować przeciw naszym uzasadnionym żądaniom swoją własną interpretacją Karty Antlatyckiej. Więc polityka polska puszczająca w niepamięć wszystkie traktaty kodyfikujące statut międzynarodowy Państwa Polskiego, a opierająca się wyłącznie na Karcie Atlantyckiej, a nie na zasadzie poszanowania zobowiązań w ogóle — snadnie okazać by się mogła polityką na krótką metę.

Wreszcie pamiętać trzeba, że oświadczenie amerykańskie ma charakter indywidualny,t.zn. obejmuje tylko to jedno mocarstwo. Nic nie wiadomo dotąd, żeby zasady wyłożone w tym oświadczeniu podzielane były przez inne sprzymierzone mocarstwa, n.p. przez Wielką Brytanię i Związek Sowiecki. Zapewne odpowiednia akcja rządowa uwzględnia i te odcinki, gdyż gen. Sikorski oświadczył wyraźnie, że "projektowane koncesje brytyjskie nie naruszają w niczym całości ziem Rzeczypospolitej w granicach z przed września 1939 r." Zapewne więc koncesje brytyjskie dotyczą innych ziem, sąsiednich, i stąd zapewne płynie punkt trzeci rezolucji Rady narodowej z 21 kwietnia 1942, który upomina się również o **"bezpieczeństwo Polski".** Zupełnie słusznie, bo "wolność i całość Ojczyzny", uwzględniona w punkcie 6 rezolucji i uznana przez W. Brytanię i Stany Zjed. A.P., nie przesądza jeszcze bezpieczeństwa naszych granic, zwłaszcza gdyby mocarstwo im zagrażające uzyskało podobną sytuację strategiczną, jaką w Traktacie Wersalskim zdobyły sobie Niemcy przez zachowanie Prus Wschodnich. Analogia ta w wariancie wschodnim naszych zagadnień dotyczy Litwy i Bukowiny.

Wreszcie zanotować potrzeba, iż wedle oświadczeń generała Sikorskiego Stany Zjednoczone popierać będą całkowicie program federacyjny w Europie Środkowo-Wschodniej z celem utrzymania w szachu Niemców. Jeżeli tylko ten cel **bezpieczeństwa** będzie dobrze przez wszystkich rozumiany, wszelkie związki w tej części Europy wyjdą na dobre wszystkim ich naturalnym uczestnikom.

SPRAWA SZTABU GENERALNEGO SPRZYMIERZONYCH

Sprawa najwyższej strategii i współdziałania wszystkich Sprzymierzonych we wspólnym Sztabie Generalnym — z którym to postulatem wystąpił ostatnio za pośrednictwem prasy brytyjskiej gen. Sikorski — poruszona była w dniu 22 kwietnia w Izbie Lordów. Jeden z przywódców grupy lordów związanych z Labour Party, Lord Strabolgi, powołując się na niedawno wydaną Białą Księgę, traktującą o funkcjonowaniu brytyjskiego "Komitetu Szefów Sztabu", zapytał się, jak się przedstawia sprawa najwyższego kierownictwa wojną i czy istnieje podobny Sztab dla koordynacji wysiłków wojsk państw sprzymierzonych i współwojujących.

"Uznaje się powszechnie — mówił Lord Strabolgi, wedle sprawozdania w "The Times" — że siły Wielkiego Przymierza miałyby przewagę, gdyby były używane właściwie. Panuje jednak uczucie, że czegoś tu brak jednakże i że właściwa maszyneria nie istnieje. Generał Sikorski, w wywiadzie opublikowanym w ostatnią niedzielę, powiedział: "Uważam za polecenia godne (advisable) utworzenie Generalnego Sztabu Sprzymierzonych dla prowadzenia operacyj na froncie europejskim." Gdyby taki Sztab egzystował, byłoby rzeczą nadzwyczajną, żeby polski Wódz Naczelny nic o tym nie wiedział".

Ponadto Lord Strabolgi twierdził, że gdyby taki Sztab istniał, zbędne byłyby podróże najwyższych wojskowych brytyjskich do Ameryki i amerykańskich do W. Brytanii. Istniejący Komitet Połączony Szefów Sztabów (Combined Chiefs of Staffs Committee) w Waszyngtonie zajmuje się wojną na Pacyfiku, więc powinien też istnieć odpowiedni organ dla wojny w Europie.

Odpowiedzi udzielił Hrabia of Selborne, minister Wojny Gospodarczej. Oświadczył on, co dotąd właściwie nie było jeszcze publicznie sformułowane, że Komitet Połączony Szefów Sztabów w Waszyngtonie zajmuje się nie wyłącznie wojną na Pacyfiku, **lecz całością działań wojennych na całym globie.** Składa się on z szefów sztabów Sił Zbrojnych amerykańskich i z odpowiednich wojskowych brytyjskich, na czele których stoi Marszałek Polny Sir John Dill. Komitet Połączony Szefów Sztabów jest organem wyłącznie militarnym. Sprawy polityczne należą oczywiście do odpowiednich rządów, których jest w Koalicji 26. Rządy te nie mają wspólnego organu zajmującego się sprawami wojny bezpośrednio. Istnieje jednak w Waszyngtonie Rada Wojenna Pacyfiku (Pacific War Council), składająca się z przedstawicieli rządów prowadzących wojnę na Pacyfiku, która jest organem politycznym, przedstawiającym Komitetowi Połączonemu Szefów Sztabów swoje sugestie, pomysły i projekty.

W Europie jest sytuacja inna — streszczamy wyjaśnienia Hrabiego of Selborne. Armia sowiecka walczy z niezmiernym męstwem, ale flota sowiecka odgrywa mniejszą rolę. Niema potrzeby istnienia Sztabu Wspólnego w Moskwie, ponieważ Rosjanie nie okazują życzeń otrzymywania brytyjskiej lub amerykańskiej rady, jak prowadzić swoją własną kampanię. Czynne są natomiast w Sowietach misje wojskowe amerykańska i brytyjska oraz sowieckie misje w Londynie i Waszyngtonie. Kwestia inwazji Kontynentu należy do spraw, które byłyby dyskutowane między zainteresowanymi rządami, lecz **istniejąca** maszyneria polityczna całkowicie jest do tego celu wystarczająca. Kiedy zaś Lord Strabolgi zauważył, iż na wypadek utworzenia drugiego frontu w Europie sprawy te nie mogły by być kierowane właściwie przez Komitet Połączony Szefów Sztabów z Waszyngtonu i — podaje sprawozdawca Daily Telegraph — popatrzył pytająco na Hrabiego of Selborne, ten nic nie odpowiedział.

Dla całości obrazu dodajmy, że brytyjski Komitet Szefów Sztabu w Londynie ma skład następujący (wedle Białej Księgi):

Przewodniczący: Gen. Sir Alan Brooke, szef Imperialnego Sztabu Generalnego; członkowie: Admirał Floty Sir Dudley Pound, Marszałek Powietrza Sir Charles Portal (Szef Sztabu Lotnictwa), Major-generał Sir Hastings Ismay (reprezentant Ministra Obrony i kierownik Sekretariatu Obrony), wice-admirał Lord Louis Mountbatten (Szef Sztabu Operacyj Połączonych).

DELEGACJA K.Z.O.N. U PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Jak się dowiadujemy, delegacja Komitetu Zagranicznego Obozu Narodowego z prezesem Bieleckim na czele przyjęta była przez Pana Prezydenta R.P. w dn. 22 kwietnia 1942 i przedstawiła swoje stanowisko w aktualnych sprawach międzynarodowych, które dotyczą bezpośrednio spraw Polski.

NEVER AGAIN

Przed paru tygodniami odbył się w Londynie — bardzo zgodnie z londyńskim zwyczajami — lunch, który był pierwszą szerszą manifestacją stowarzyszenia "Never Again" — Nigdy już więcej — stojącego blisko Lorda Vansittarta. Żywa działalność, jaka poprzedziła to śniadanie, a jaka ogarnia całą wyspę, ma na celu wrażanie w świadomość brytyjską przekonania, że "nigdy więcej" taka wojna i takie do niej nieprzygotowanie nie powinny się powtórzyć, że jedynym do tego prowadzącym środkiem jest gruntowne położenie Niemiec na obie łopatki, położenie ich takie, by im uniemożliwić zdradzieckie dozbrojenie się do nowego ataku — po przegranym przez zwycięzców pokoju.

W czasie rzeczonego lunchu, główny mówca, p. Brown, znany z przemówień w BBC, w pełnym temperamentu przemówieniu wskazał na błąd logiczny kryjący się w samymże pojęciu "Dobrych Niemiec"; dla zbombardowanego jest zupełnie obojętne, czy rzucający bomby ma w kieszeni egzemplarz "Mein Kampf" czy też egzemplarz Heinego lub Goethego . . . Oczywiście. Podobną rację miał Lord Vansittart, kiedy w czasie swej dziewiczej mowy w Izbie Lordów oświadczył niedawno, iż wie dobrze że nie cały naród niemiecki składa się z naganiaczy, że są też i szczute psy. Ale dla pokrwawionej zwierzyny na polowaniu, różnica między naganiaczem a rozżartym psem — jest raczej nieistotna. Po swym przemówieniu p. Brown zaproponował parę punktów rezolucji, które stanowią coś w rodzaju — Charty Never Again. Oto one:

1. Całkowite powalenie Niemiec i trwałe ich rozbrojenie;
2. nie sięganie po wojnie do instytucji Ligi Narodów, która katastrofalnie zawiodła;
3. pełna niezawisłość poszczególnych państw;
4. jakakolwiek szersza federacja może być tylko federacją federacyj, wynikłych z organicznej i realnej potrzeby zainteresowanych narodów;
5. Anglia nie może sobie pozwolić sobie na luksus nie ponoszenia odpowiedzialności za Europę. **No resigning of our responsibility.**

Zgłaszamy akces do tych punktów nowej Charty.

ODCZYT ALANA GRAHAMA

W zeszłym tygodniu odbył się staraniem Scottish-Polish Society, doskonały odczyt znanego posła do Izby Gmin, Captain Alan Grahama, poświęcony sprawom Europy środkowej (The Central Europe in the melting-pot). Odczyt był przeprowadzeniem tezy, że głównym filarem bezpieczeństwa Europy środkowej winna być silna Polska, skonfederowana z Czechosłowacją.

Prelegent wychodził z założeń i perspektyw historycznych. W czasie Traktatu Wiedeńskiego, Europa po burzy napoleońskiej ładzona była w myśl zasady **legitymizmu.** Traktat Wersalski budował na zasadzie **samostanowienia,** rozbijając Europę w puch drobno-ustrojów. Obecnie żyjemy w atmosferze ideologii **federacyjnej.**

Federacja, by być praktyczną i realną, a nie tylko czczą i pustą grą ideologiczną, musi opierać się na wiązaniu sił: federowanie słabości nie prowadzi do niczego. Stąd postulat Polski potężnej. Słaba Polska nie wypełniłaby swej roli, na którą Europa liczy.

Zgodnie z dawniej już (After the War, zbiór prac szeregu członków Izby Gmin z 1940 r.) opublikowanymi swymi żądaniami, Captain Alan Graham stawia mocno sprawę wcielenia do Polski Prus Wschodnich oraz oparcia zachodniej granicy polskiej o linię Odry, tak właśnie jak Foch chciał oprzeć wschodnią granicę Francji na zdemilitaryzowanym szerokim pasie Nadrenii.

(ciąg dalszy na str. 391)

POSZUKIWANIE WINNYCH

BRZMIĄ nam jeszcze w uszach tragiczne słowa premiera Reynauld, wypowiedziane przez radio na kilka dni przed ostatecznym załamaniem się Francji: "Si quelqu'un me disait que seulement un miracle peut sauver la France, je dirais que je crois au miracle parceque je croix en la France." Ale cud nie przyszedł i dziś były premier Reynauld stoi przed trybunałem w Riom jako jeden z oskarżonych o winę za klęskę.

Dziwne refleksje budzą się w myślach przy czytaniu sprawozdań z Riom. Gdy po Wielkiej Rewolucji francuskiej wrogie armie wkraczały w granice Francji, powołano do życia Comité du Salut Public, naród porwał za broń i zwyciężył. Nie obawiano się ofiary krwi. Nie obawiał się jej również naród polski w roku 1920, gdy nieprzyjacielskie wojska niepowstrzymanym pochodem zalewały kraj aż po stolicę. Stworzono Radę Obrony Państwa, powołano cały naród do walki. I przyszedł Cud nad Wisłą, cud wywalczony bronią polskiego żołnierza, hartem ducha narodu, nieskąpioną ofiarą. W r. 1940 państwo francuskie cofnęło się przed krwawą ofiarą. I dziś sądzi swych przywódców, chcąc w kilku ludziach umiejscowić winę za to, za co odpowiedzialność jest niepomiernie szersza, za nieprzygotowanie do wojny nie tylko materialne, ale przede wszystkim moralne, za niechęć do walki i do poświęceń. Dlatego mimo całej goryczy do ówczesnych przywódców Francji za błędy przez nich popełnione, sympatia nasza kieruje się raczej w stronę tych oskarżonych w Riom, którzy podjęli i prowadzili walkę z Niemcami. Ale przede wszystkim nasza sympatia kieruje się w stronę. narodu francuskiego, który składa coraz większą i coraz bardziej świadomą ofiarę, może większą niż ta, której było potrzeba, by w r. 1939 wywalczyć zwycięstwo, lub w roku następnym odeprzeć klęskę.

Wśród wielu wielkich wydarzeń doby obecnej proces w Riom stosunkowo mało zwraca na siebie uwagi, mniej niż na to napewno zasługuje. Rola Francji w tej wojnie najprawdopodobniej nie jest jeszcze zakończona. Ale w jakim pójdzie ona kierunku? Na to pytanie znowu dziwne refleksje historyczne powstają. Upadek Francji w r. 1940, jej obecna "współpraca" z nowym ładem niemieckim, oddziały francuskie Doriota na froncie rosyjskim, wojska Rommela w Afryce, a jednocześnie niechybne oznaki odrodzenia francuskiego — czyż to nie kopia lat 1806–1814, historia a rebours, straszliwy rewanż dziejowy Niemiec za Jenę i Tylżę, za okres swego upadku i dominacji francuskiej, za zwycięski błysk oręża francuskiego aż po piramidy Egiptu, za wojska pruskie wtłoczone w szeregi Wielkiej Armii Napoleona w Rosji . . . Ale w takim razie, jeśli historia rzeczywiście się powtarza, ze zmianą ról Francji i Niemiec, — w takim razie prorokować można,że odrodzenie sie Francji pójdzie podobnymi drogami, co odrodzenie Prus 130 lat temu i że gdy wojska Hitlera staną wkońcu na polach swego Waterloo, żołnierz francuski znajdzie się w szeregach tych, którym przypadnie zwycięstwo. To będzie wtedy jego rewanż za odsiecz Bluechera, za śmierć starej gwardii.

Gdy w czasie poprzedniej wielkiej wojny po pierwszym zwycięstwie nad Marną zastanawiano się w obecności marszałka Joffra nad tym, kto wygrał tę bitwę, stary marszałek wypowiedział te słowa: "Nie wiem, czy ja ją wygrałem, wiem tylko, że gdyby skończyła się klęską ,ja byłbym uznany winnym przegranej." Czyż dzisiejszy proces w Riom nie wskazuje nam na to, jak słuszne były te słowa? Marszałka Joffra uchronił przed jego procesem w Riom nie tylko jego hart ducha, ale także hart ducha całej armii francuskiej. Czy i o ile sytuacja militarna Francji w roku 1940 przed upadkiem Paryża była gorsza od sytuacji w roku 1914 przed bitwą nad Marną, dopiero przyszłe badania będą mogły ocenić.

Poszukiwanie winnych po klęskach jest zwykłym objawem w historii narodów. Proces w Riom nie jest zatem zjawiskiem wyjątkowym. Rok temu zdawało się, że toczyć się on będzie o winę wprowadzenia Francji do wojny. Dziś — ku oburzeniu Niemców — toczy się on o winę nieprzygotowania Francji do wojny. To przesunięcie tematu procesu jest niezmiernie charakterystyczne. Już nie o wojnę się oskarża, ale o przegraną. Przegraną z powodu nieprzygotowania Francji.

Ale nie tylko Francja była nieprzygotowana do wojny. Nieprzygotowane były również Polska i Anglia, — z tą tylko różnicą, że Polska i Anglia nie złożyły broni po pierwszych przegranych kampaniach i że trwają nadal w walce, idąc uparcie ku zwycięstwu. Niedostateczne przygotowanie do wojny powiększyło wielkość ofiary. Były błędy w dziedzinie politycznej, w dziedzinie wojskowej. Czy byli winni?

W swym miesięczniku "Nineteenth Century and after" w numerze marcowym wybitny publicysta angielski p. Voigt pisze: "Bezcelowym jest wywoływanie przeszłości. Jest w istocie prawdą, że mania rozbrojenia i iluzja zbiorowego bezpieczeństwa były decydujące w wywołaniu naszej obecnej nieszczęsnej sytuacji — one w rzeczywistości uczyniły możliwym dla Niemców doprowadzenie do drugiej wojny światowej. Okres między wojnami był bardziej przepełniony błędami zagranicznej polityki, niż jakikolwiek inny okres od czasu podboju normandzkiego. W dziedzinie spraw zagranicznych, conajmniej, panował sentyment, abstrakcje, mity i szczególna anglo-amerykańska faryzeuszowska arogancja. Prawdą jest, że "uspokojenie" praktykowane pod koniec tego okresu przyśpieszyło zbliżenie się wojny i powiększyło szanse najeźdźcy — — ciężka odpowiedzialność za tę wojnę będzie się łączyć zawsze z p. Neville Chamberlainem i Lordem Halifaxem, nie mniej niż z p. Ramsay MacDonaldem i p. Baldwinem. Prawdą jest, że w pierwszym roku wojny wysiłek narodowy był niedostateczny, ponieważ nie rozumiano wielkości wojny."

Nie jest naszą rzeczą wytykać błędy polityki angielskiej, lub bawić się w poszukiwanie winnych tych błędów czy nieprzygotowania militarnego Anglii do wojny. To są sprawy angielskie i słusznie spotkać by nas musiała ostra odprawa, gdybyśmy w nie wkraczali. Dlatego notując uwagi p. Voigta, czy jakiegokolwiek innego angielskiego polityka lub publicysty, przejść musimy z należytym taktem i milczeniem obok nazwisk przez nich krytykowanych osób, podejmując tylko to, co ma znaczenie dla oceny sytuacji z punktu widzenia ogólnego, międzynarodowego. W uwagach p. Voigta takie znaczenie mają słowa o przedwojennej atmosferze abstrakcji i mitów, o polityce "uspokojenia" (appeasement), która wojnę przyśpieszyła.

A jak ta sprawa wygląda na naszym polskim terenie? Niewątpliwie na politycznej i militarnej sytuacji Polski w przeddzień wojny odbiła się w sposób decydujący ta polityka "uspokojenia" i te błędy, które są dziś wytykane przez p. Voigta i tylu innych. Tym niemniej po klęsce wrześniowej straszliwe pytanie "Dlaczego"? zwracało polskie społeczeństwo nie ku zagranicznym, a ku własnym winowajcom. To jest normalna kolej rzeczy, której nic zmienić nie potrafi. Na murach zburzonej Warszawy pisano wyroki na tych, których za winnych uważano. Ale gdyby w polskim Riom odbywał się proces o winę klęski wrześniowej, sytuacja byłaby inna, niż w Riom francuskim. Społeczeństwa polskiego nie zawiódł instynkt polityczny, nie brakło mu hartu ducha i odwagi, gotowości do poświęceń i determinacji, które wystąpiły w Polsce z siłą nieczęsto w dziejach narodów spotykaną. Dlatego w polskim Riom głos oskarżenia miał by nutę inną.

Dla zbadania wszystkich okoliczności poprzedzających i towarzyszących naszej klęsce wrześniowej została drogą ustawodawczą utworzona specjalna "Komisja powołana w związku z kampanią we wrześniu 1939." Rozumieć zdaje się należy, że nie poszukiwanie winnych jest zadaniem tej komisji, a badanie wszystkich przyczyn i okoliczności klęski. W ilu wypadkach i w jakich rozmiarach przyczyny łączą się z winą? Trzeba będzie kiedyś i na to pytanie odpowiedzieć, o ile jednozgodny głos opinii publicznej już tej odpowiedzi nie ud ielił. Ale jedno trzeba stwierdzić już dziś i to w sposób

jak najbardziej kategoryczny, a mianowicie, że są **to wewnętrzne sprawy polskie,** bo tylko o wielkości polskiej ofiary one stanowiły. Obce uszy i języki trzeba od tych spraw trzymać zdaleka, nic im do nich. Bo w obecnym konflikcie dziejowym, bo w okresie zamętu myśli i poglądów, który ten konflikt poprzedził, Polska zajmowała i zajmuje taką postawę, która pozwala jej stać z dumnym czołem przed każdym innym narodem. Polska nie miała i nie ma Quislingów, nie ma winowajców do sądzenia przed areopagiem międzynarodowej opinii.

Dużo było mówione o brakach w zaopatrzeniu armii polskiej w środki walki. Ale po rewelacjach w Riom o stanie zaopatrzenia armii francuskiej nasze własne braki uzbrojenia w zgoła nowym stają świetle przed oczami świata. Dziś można już głośno powiedzieć, że z zaciągniętej przez Polskę na dwa lata przed wojną pożyczki francuskiej jednego miliarda franków na zbrojenia tylko drobny ułamek był faktycznie wykorzystany, bo nie było we Francji broni, ktorą by można było kupić. Nie było w Europie ani w Ameryce arsenału broni, który by było można niemieckiemu przeciwstawić. Jedyny poza niemieckim poważny arsenał uzbrojenia, czeski, dostał się także w ręce Hitlera, cały i nienaruszony, i czeskie samoloty, czołgi i haubice siały w Polsce śmierć i zniszczenie.

Mówiąc o tych sprawach zaznaczyć trzeba, że podejmowane przez niektóre zasadniczo nam przyjazne i sprzymierzone koła próby malowania na czarno czegoś, co zwą "rządem Becka," nie mogą znaleźć chętnego ucha nawet wśród tych, co będą jak najsurowiej oceniali rolę Becka w Polsce. Była mowa o "rządzie Becka" w przemówieniu radiowym p. Swaty dn. 11 stycznia na temat polityki czechosłowackiej i coraz częściej spotyka się nazwisko Becka na łamach prasy czeskiej. A jednocześnie radiostacja imienia Tadeusza Kościuszki, kierowana przez czynniki sowieckie, wymienia Becka w audycji z dnia 28 lutego w rzędzie europejskich Quislingów (o Hasze zapomniała) i w "klice beckowskiej" widzi źródło wszego zła. Jedno z pism czeskich też już próbowało przedstawić Becka jako pierwszego Quislinga. Czy jednolitość wystąpień czeskich i sowieckiego radia jest wynikiem przypadku, czy jakiejś wspólnej akcji, której celu trudno się dopatrzeć, nie potrafimy powiedzieć. Nie widzimy celu przypominania nazwiska człowieka, który od dwóch i pół lat nie odgrywa żadnej roli, a przed tym na bieg wypadków europejskich miał wpływ napewno dużo mniejszy, niż niektórych innych ministrów spraw zagranicznych. Sprawa Becka jest wewnętrzną sprawą polską i nic ona obcych obchodzić nie może. Polityka Becka w stosunku do Niemiec po r. 1934, z punktu widzenia polskiego karygodna, bo prowadzona wbrew woli narodu, z punktu widzenia międzynarodowego była tylko drobnym pendant do polityki "uspokojenia," prowadzonej przez inne państwa, gotowe nawet na ołtarzu tego "uspokojenia" poświęcić interesy polskie. Beck i jego "klika" nie poszli na podszepty niemieckie wspólnej wyprawy na Rosję. No i ostatecznie Beck nie pojechał do Berlina po dyktat Hitlera i nie odegrał tam roli Hachy czy Chwalkowsky'ego. A Rydz Śmigły choćbyśmy go jak najsurowiej osądzić mieli nie odegrał roli Syrovego.

Nie jest dobrze, gdy zaczynają sobie mówić rzeczy niewłaściwe ci, których los złączył we wspólnej walce, w której razem zwyciężą lub razem zginą. A już nie tylko jest niedobrze, ale i niemądrze, gdy zaczyna to robić strona, którą obciążają błędy i winy nie tylko z przeszłości. Prasa czeska jak gdyby zapomniała o roli Czechów w stosunku do Polaków w latach 1919—1920 i o najeździe czeskim na Śląsk Cieszyński wbrew podpisanej umowie i wbrew oświadczeniom oficjalnym, — a natomiast zdaje się nie pomijać żadnej okazji, by przypominać rolę Becka i jego "kliki" w r. 1938. A radio sowieckie im. Tadeusza Kościuszki w dn. 15 marca b. r. wykorzystało rocznicę wejścia wojsk Hitlera do Pragi do napaści na ówczesny rząd polski, nazywając go rządem "ajentów hitlerowskich" itd. O Hasze znowu jakoś zapomniano. A tenże Hacha tegoż dnia 15 marca b. r. słał taki telegram do Hitlera: "Dziś wraz z narodem czeskim z wdzięcznością zwracam się do Opatrzności, która trzy lata temu wiodąc nas drogą ocalenia zaprowadziła mnie do waszej ekscelencji. Przyrzekamy ci nasz Führerze iść wiernie w twe ślady. Z pełnym zaufaniem deklarujemy nasz udział w nowej Europie, tego twego dzieła, które kształtuje się przed naszymi oczyma. Spoglądamy w przyszłość z głęboką wiarą w ostateczne zwycięstwo twych wojsk." Zaś w przemówieniu radiowym do narodu czeskiego Hacha mówił: "Data 15 marca stała się symbolem naszej ideologicznej rewolucji oraz inkorporacji do społecznej, gospodarczej i kulturalnej jedności Rzeszy. My, Czesi, podziwiając wznoszenie się Rzeszy przeszliśmy od korzystania biernego z ochrony do rosnącego brania udzlału we wszelkich dziedzinach. Usiłujmy nadążać z kierowniczym narodem niemieckim. Ideologia narodowego-socjalizmu uczyniła Niemcy najpotężniejszym państwem świata. Naród czeski spełni swe zadanie z godnością w zdyscyplinowanej współpracy."

Czytaliśmy te wypowiedzi Hachy z wielkim bólem i wstydem i ze smutkiem je tutaj powtarzamy. Dlatego, bo poczuwamy się do braterstwa z narodem czechosłowackim, chcemy pojmować to braterstwo serdecznie i szczerze i potrafimy zrozumieć te uczucia, które takie wystąpienia Hachy, czy jemu podobnych ludzi, wywołują u prawdziwych patriotów czeskich.

Nie bardzo natomiast potrafimy zrozumieć co chciał wyrazić p. Palkovsky, gdy pisał ("Nova Svoboda", wychodząca w W. Brytanii, Nr. 10 z 1942 r): "Narody, które się dały z bohaterstwa nierozważnie pobić, nie doczekały się żadnej wdzięczności, chociaż były podziwiane. Nasz naród był już dwukrotnie w tej sytuacji, nie można się więc dziwić, że się broni, aby się do niej po raz trzeci nie dostać." A mówi to w związku z oceną walki Polaków z Niemcami we wrześniu 1939. "Co im (Polakom) znaczył ich heroizm — pyta p. Palkovsky — z którym się dali pobić." I pisze dalej: "Obrona Warszawy była poprostu antycznym heroizmem. A rezultat wojskowy? Nie był żaden." Jesteśmy wdzięczni p. Palkowsky'emu za uznanie polskiego bohaterstwa, aczkolwiek zdaje się on uważać je za coś niepotrzebnego, ujemnego, może nawet odstraszającego. Bo p. Palkowsky pisze także: "Widzieliśmy na przykładzie Polski, dokąd prowadzi nadmierny nacjonalizm, który wywołuje przecenianie własnych sił." Ale czy p. Palkowsky nie zastanowił się nad tym, coby było dziś z Europą, ze światem całym, gdyby naród polski cofnął się przed tym "antycznym bohaterstwem," gdyby naród polski również nie chciał dać się "z bohaterstwa nierozważnie pobić" — gdyby w sierpniu 1939 Rydz Śmigły i Beck pojechali do Berlina po dyktat Hitlera? P. Voigt daje na to odpowiedź w cytowanym poprzednio artykule: "Gdy wojna będzie wygrana, słuszny wyrok historii powie, że Polska ocaliła świat i to za przeraźliwą cenę, albowiem spośród wszystkich krajów będących w wojnie ona najwięcej ucierpiała. . . Gdyby Polacy ulękli się tej ofiary, Hitler miałby już wszystko — byłby on w ciągu paru lat bezspornym panem Europy i dużo więcej." O tak! Ofiara Polski w tej wojnie jest największa, nawet p. Palkowsky zdaje się to rozumieć, bo pytając, co Polakom przyniósł ich heroizm, pisze potem: "Mają się (Polacy) tak samo źle, a nawet pod wieloma względami jeszcze gorzej, niż my." Ale czy p. Palkowsky'emu nie przychodzi na myśl, że gdy nadejdzie chwila zwycięstwa, miarą udziału w owocach zwycięstwa musi być także wielkość ofiary i wielkość zasługi, położonej przez poszczególne narody na ołtarzu wspólnej sprawy?

P. Palkovsky oświadcza swą sympatię dla Polaków — chcemy mu wierzyć — i życzy sobie z Polską porozumienia "od ludu do ludu." Ale zaraz potem próbuje robić przytyki tym, do których ma sympatię. Pisze on: "U nas nie można pomyśleć o porozumieniu od jakiegoś rządu pułkownikowskiego do jakiejś dyktatury albo na odwrót, ponieważ każdy, któryby to nieszczęśliwe słowo po ciężkich doświadczeniach, jakie w domu przeżywają, tylko wypowiedział, prawdopodobnie długoby nie mówił." Może by tak było, nie wiemy. Natomiast wiemy napewno, że w Polsce nawet mały aktor o wątpliwym polskim pochodzeniu Igo Sym, gdy próbował porozumiewać się z Niemcami na tle prowadzenia teatru quasi-polskiego, przypłacił to śmiercią i los taki tym bardziej by spotkał w Polsce każdego, ktoby próbował współpracować politycznie z najeźdźcą.

Nie chcemy poszukiwać winnych wśród bratniego narodu, nie chcemy im robić procesów i ferować wyroków, choć może ich postawa przynosi wciąż jeszcze szkodę nie tylko czechosłowackiej ale i wspólnej naszej sprawie. Niech każdy robi sam porządek w swoim domu.

Poszukiwanie winnych to nieunikniony historyczny proces po klęskach i niepowodzeniach. Ten proces wyładowuje się czasem nagle i krótko, w jedną noc nabrzmiałą odruchem gniewu i kary, czasem trwa lata całe. Na proces w Riom czekali oskarżeni blisko dwa lata, a mimo to proces ten wydaje się być przedwczesnym. Francja nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa, nie zajęła ostatnich pozycji.

Lepiej jest cenić zasługi niż poszukiwać winnych. Zasługa i ofiara budują drogę do zwycięstwa. A gdy przyjdzie dzień, że się dopełni miara trudu i ofiary i zwycięży dobra sprawa nad złą siłą Niemiec, poszukiwanie winnych zejdzie na właściwe sobie miejsce rzeczy drugorzędnych, odpadną słowa goryczy, a przyjdzie chwila szczerego uznania prawdziwej zasługi i ofiary bez zazdrości i zawiści i bez fałszywej reklamy, między ludźmi i między narodami.

A. K.

Władysław Kempowski

NIEPOROZUMIENIA

RZĄD w warunkach normalnych bytu państwowego odpowiada za swą działalność polityczną przed Parlamentem, za naruszenie prawa— przed Trybunałem Stanu. Ponadto, strona finansowa i gospodarcza działalności rządu podlega kontroli Najwyższej Izby Kontroli. W warunkach bytu emigracyjnego organy kontroli politycznej i prawnej nie istnieją; organ kontroli finansowej w postaci N.I.K. istnieje wprawdzie, lecz — pozbawiony nawet tych szczupłych możliwości egzekutywy, jakie miał w kraju — jest bez większego znaczenia. Zagadnienie kontroli i odpowiedzialności rządu jest jednak jednym z zasadniczych zagadnień praworządnego ustroju państwowego. Istnienie kontroli i odpowiedzialności rządzących, poddanie ich prawu na równi z rządzonymi, jest właśnie tą cechą zasadniczą która odróżnia ustrój demokratyczny od ustroju dyktatorskiego, opartego na nieograniczonej i nieodpowiedzialnej władzy jednostki lub kliki. Hasło: niema władzy bez odpowiedzialności nabrało w wyniku zwłaszcza naszej polityki przedwojennej i katastrofy wrześniowej głębokiego, tragicznego sensu. Nie chodzi tu o odpowiedzialność moralną, odpowiedzialność przed Bogiem i historią, lecz o inny rodzaj odpowiedzialności ustalony już dawno w technice ustrojów, opartych na prawie: odpowiedzialność sprowadzającą się do skutecznej kontroli Narodu — poprzez parlament i sądy — nad działalnością rządzących. Brak organów kontrolnych odpowiedzialności tej nie znosi, odkłada jedynie jej realizację. Mogą ją realizować w przyszłości parlamenty lub trybunały rewolucyjne: bywa rozmaicie. Historia jednak uczy, że odpowiedzialności za sprawowanie władzy nie unikali nawet dyktatorzy.

Jakież są zatem funkcje demokratycznego mechanizmu kontroli? Działa on zapobiegawczo i represyjnie. Pozwala na skuteczne zapobieganie złej polityce rządu przez zmuszanie go do ustąpienia. Zmusza rząd do liczenia się w swej działalności — w interesie własnym — z opinią publiczną, reprezentowaną w parlamencie, i z prawem na którego straży stoją sądy. Pozwala na poddanie polityki rządu swobodnej, niezależnej ocenie i dyskusji, stwarzając w ten sposób wentyl bezpieczeństwa dla nastrojów, które, tłumione, przekształcić się mogą w konspirację i wrzenie rewolucyjne. Mechanizm ten działa najidealniej tu właśnie, w Anglii. Jego punktem ciężkości jest opozycja. Bez niej Parlament angielski nie mógłby istnieć. Ograniczona w działaniu przez wojnę i zasadę rządów koalicyjnych, nie milkła jednak nawet wśród huku bomb, spadających na Londyn.

Wagę zagadnienia krytyki i kontroli doceniano w początkach naszego bytu emigracyjnego. Wobec niemożności powołania do życia normalnych organów kontroli, a w szczególności utworzenia parlamentu, powołano dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 9 grudnia 1939 r. Radę Narodową, mającą stanowić w intencji projektodawców pewien surogat parlamentu. Nie wyposażono jej wprawdzie ani w funcje ustawodawcze, ani w funkcje kontroli politycznej; stanęły temu na przeszkodzie przepisy Konstytucji. Aby zmieścić jako tako instytucję tę w ramach ustawy konstytucyjnej, nadano jej jedynie uprawnienia opiniodawcze w stosunku do Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu. Ustawodawczo trudno było dać więcej, skoro się stało na stanowisku legalności i ciągłości ustroju. Mogło to było zresztą przy istnieniu pewnych warunków pozaustawowych, wystarczyć. Wydawanie opinii może być jednym ze sposobów wykonywania kontroli; dużo zależy od autorytetu ciała opiniodawczego i od ciężaru gatunkowego wydawanych opinii. Kolegia opiniodawcze o wysokim wyrobieniu politycznym i dużym autorytecie swych członków wywierały nieraz wpływ decydujący na organy mające w swych rękach władzę i możność decyzji. Ciału opiniodawczemu brakuje wprawdzie zawsze egzekutywy; niema ono możności powodowania ustąpienia rządu i przeciwdziałania w ten sposób polityce, nieodpowiadającej woli społeczeństwa. Może ono spełniać jednak inne funkcje mechanizmu kontroli politycznej, może stanowić pewien wskaźnik dla rządu w jego działalności: większa lub mniejsza krzywa odchyleń od linii politycznej kolegium opiniodawczego świadczy o rozpięciu różnic między polityką rządu a poglądami tych grup społecznych, które kolegium to reprezentuje. Może wreszcie, ze stanowiska pewnych kierunków politycznych, poddawać działalność rządu wszechstronnej ocenie i dyskusji.

Do tego jednak, by ciało opiniodawcze mogło spełnić w należytej mierze swe zadania, potrzebne są pewne warunki. Po pierwsze, kolegium opiniodawcze musi być całkowicie niezależne od organu, którego działalność ocenia. Po drugie, kolegium to musi autorytet swój czerpać nie z faktu wartości osobistej swych członków, lecz przede wszystkim z idei reprezentacji. Musi ono być wyrazicielem pewnych poglądów zbiorowych, musi mieć pewne zaplecze.

Jednym z warunków realizacji zasady niezależności jest niewpływanie przez organ kontrolowany na dobór członków kolegium kontrolującego. Kontrolowany nie może dobierać sobie kontrolerów. W systemie rządów parlamentarnych istnieje zasada odwrotnego doboru: organ kontrolujący wyznacza (najczęściej pośrednio) oran kontrolowany. Negacja jednak zasady niewyznaczania organu kontrolującego przez kontrolowanych jest zaprzeczeniem samej istoty kontroli. Reali-

zację tej zasady w jej politycznym zastosowaniu zapewniają wolne od nacisku administracji wybory. W warunkach obecnych, wobec niemożności przeprowadzenia wyborów, zachowanie zasady niezależności było możliwe przez pozostawienie stronnictwom możności wyznaczania kandydatów. Dekret z 9 grudnia 1939 r. wprowadził wprawdzie mianowanie członków Rady Narodowej przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek Prezesa Rady Ministrów, a więc czynnika rządowego, lecz nawet w ramach tego przepisu można było utrzymać zasadę delegowania członków przez stronnictwa, sprowadzając akt nominacji do znaczenia wyłącznie formalnego. Praktyka nie poszła jednak w tym kierunku, jak na to wskazuje sposób utworzenia obecnej Rady Narodowej. Rząd, zwłaszcza w stosunku do jednego ze stronnictw i przez powołanie znacznej liczby "outsiderów", skorzystał szeroko z zapewnionego mu dekretem prawa doboru.

Można by wprawdzie kwestionować możliwość i celowość stosowania w warunkach emigracyjnych zasady wyznaczania kandydatów przez stronnictwa. Stronnictwa polityczne są to ruchy masowe, ujęte w pewne karby organizacyjne. Na emigracji brak tego elementu masy, stanowiącego istotę stronnictwa, i odwołanie się do niego jest niemożliwe; nie istnieją nawet normalne formy organizacyjne stronnictw. Zasada więc reprezentacji stronnictw w Rządzie i w Radzie Narodowej opiera się tylko na mniej lub więcej prawdopodobnej hypotezie, że za tymi stronnictwami stoi większość społeczeństwa w kraju. Hypotezy tej dowieść całkowicie niepodobna; w stosunku do jednego przynajmniej ze stronnictw, wchodzących w skład Rządu i Rady Narodowej, wydaje się ona nawet nieco wątpliwa, złośliwi bowiem twierdzą, że wszyscy członkowie tego stronnictwa znaleźli się na emigracji. Skoro się jednak zasadę tę przyjęło, należało konsekwentnie przyjąć również zasadę uznawania stronnictw i ich organizacyj w tej formie, jaka na emigracji istnieje. Nieuznawanie bowiem istniejących form organizacyjnych stronnictwa, a w tym jego władz, prowadziłoby do odrzucenia samej zasady istnienia stronnictw na emigracji. Władz tych innymi zastąpić tu nie można, a bez władz, bez organizacji wewnętrznej, stronnictwo staje się bezkształtną masą, czyli przestaje istnieć. Stanowisko takie wyposaża wprawdzie dotychczasowe władze stronnictw w pewien immunitet formalny, trudno jednak na to poradzić. Wywołanie rozłamu w stronnictwie lub secesji z niego w celu utworzenia nowego stronnictwa jest tu na emigracji niemożliwe, tak jak niemożliwe jest np. pociągnięcie rządu do odpowiedzialności parlamentarnej. Rozłam i secesja są to ruchy masowe, podstawa zaś istnienia stronnictw emigracyjnych jest wyłącznie formalna. Subiektywne przekonanie paru członków stronnictwa, że jego polityka jest zła, może pociągnąć za sobą ustąpienie ich z jego szeregów; druga alternatywa — obalenie jego władz lub wywołanie rozłamu — jest przed nimi zamknięta. Zarzut, że takie postawienie sprawy wytwarza sytuację quasi-dyktatorską dla władz stronnictwa, byłby niesłuszny, ponieważ, przynajmniej w Stronnictwie Narodowym, władze te są kolegialne i rozstrzygają większością o jego taktyce politycznej.

W tym świetle sprawa t. zw. rozłamu w Stronnictwie Narodowym przy okazji powoływania nowej Rady Narodowej jest nieporozumieniem. Fakt wyłamania się paru starszych panów z pod dyscypliny partyjnej powinien był pociągnąć za sobą ich ustąpienie ze stronnictwa. Nie uczynili jednak tego, a nawet, pomimo wykluczenia ich, uznają się nadal za jego członków. Postawa ta jest zaprzeczeniem podstaw organizacyjnych nowej koalicji rządowej. Panowie ci nie mają legitymacji do reprezentowania kogokolwiek. W stosunku do innych stronnictw wystawili weksel o wątpliwym pokryciu, weksel, którego w ogóle do dyskonta przyjmować nie należało.

Przyjęliśmy tu bowiem, że założenie reprezentowania opinii publicznej w kraju przez stronnictwa na emigracji jest w danych warunkach hypotezą, na której poparcie całkiem pewnych sprawdzianów przytoczyć niepodobna. Można zatem tej hypotezie przeciwstawić inną i z mniejszym lub większym przekonaniem twierdzić, że stronnictwa na emigracji, a przynajmniej niektóre z nich, nie odzwierciedlają opinii mas, że czynią to natomiast jednostki, które polityce stronnictwa się przeciwstawiły. Lecz w takim razie z płaszczyzny reprezentacji opinii przez stronnictwa przechodzimy na płaszczyznę wyrażania jej przez jednostki. Założenie nie nowe, będące podstawą ideologii ustrojów autorytatywnych, znane i nam z naszej dawniejszej i niedawnej przeszłości. Zdawało się, że nauczeni doświadczeniami zrywamy z mistyczną wiarą w intuicję "opatrznościowych" jednostek, że dojrzewamy do ustroju, przeciwstawiającego jednostce wolę zbiorowej organizacji. Widocznie jednak trudno zerwać z grzechami i metodami przeszłości. **Jest to precedens na przyszłość niebezpieczny.**

W wyniku tej wątpliwej natury gry politycznej istnieją obecnie w emigracyjnym układzie naszego życia politycznego dwa "stronnictwa narodowe." O nowopowstałym można twierdzić z całkowitą słusznością, że wszyscy jego członkowie — w liczbie siedmiu — są na emigracji. Co więcej, wszyscy piastują wysokie godności urzędowe.

Warunku reprezentacji nie dochowano również w innym kierunku przy powoływaniu nowej Rady. Powołano bowiem do niej, poza 20 osobami reprezentującymi istotnie lub rzekomo stronnictwa, 9 osób nie reprezentujących nikogo. Rada Narodowa jest jednak ciałem politycznym. U podstaw jej istnienia tkwi założenie, że jej członkowie są wyrazicielami pewnych masowych kierunków politycznych. Zasiadają oni w Radzie nie ze względu na swe kwalifikacje indywidualne, lecz ze względu na to, że za nimi prawdopodobnie stoją mniejsze lub większe odłamy społeczeństwa w kraju. Ich kwalifikacje osobiste, nawet ich zasługi społeczne, są rzeczą drugorzędną. Można zdobyć mandat polityczny dzięki wartościom osobistym, jakkolwiek regułą to bynajmniej nie bywa; bez tego jednak mandatu ciężar gatunkowy udziału w kolegium politycznym jest znikomy. Nie chodzi tu o doradców fachowych, gdyż w takim razie Dekret z 9 grudnia 1939 r. byłby zbędny. Z takich doradców można wszak tworzyć kolegia urzędnicze. Obecność w Radzie "outsiderów" i ich w niej rola nie bardzo się tłumaczą. Mogą oni jednak w razie konfliktu między stronnictwami i podziału głosów stanowić o treści podejmowanych uchwał. W imię czego?

Jeszcze mniej się tłumaczy podniesienie ilości członków nowej Rady do 31 osób. Założenie, że liczniejsze kolegium zapewnia wszechstronniejszą analizę zagadnień, jest zawodne i daje w wyniku jedynie zwiększoną, a tak zbędną w wielu wypadkach, pracę stenografek. Jednym ze skutków powiększenia składu Rady jest wprowadzenie do niej, w braku widocznie niezależnych działaczy politycznych, elementu urzędniczego. Nie są to wpradzie urzędnicy zawodowi, ich kwalifikacje w tej dziedzinie są zapewne mniejsze od kwalifikacyj politycznych, choć i co do tych ostatnich można było by w pewnych wypadkach mieć zastrzeżenia. Trudno jednak nie stwierdzić, że sytuacja b. urzędnika, który by w charakterze członka Rady chciał krytykować swego byłego przełożonego-ministra, byłaby nieco drażliwa. Na szczęście stosunki w Radzie układają się tak pogodnie, że do tych ewentualności zapewne nie dojdzie.

Nie zamierza się tu twierdzić, że cały skład Rady Narodowej jest zły i nie stoi na wysokości zadania. Nawet w systemie powoływania doradców politycznych drogą dekretów nominacyjnych zdarzają się niedopatrzenia, sprawiające że do ciała doradczego trafiają ludzie naprawdę niezależni. Pewien procent takich niedopatrzeń zaszedł i w danym wypadku. Nie rozwiązuje to jednak zagadnienia Rady jako całości. W obecnym swym składzie nie może ona spełnić głównego zadania, jakie na niej ciąży: stworzenia dla polityki Rządu formalnego przynajmniej oparcia w większości społeczeństwa. Nie jest namiastką parlamentu, lecz raczej jego fikcją. Jest instytucją zbędną w tym samym stopniu, w jakim część swego składu zawdzięcza nieporozumieniom w założeniach i taktyce czynników powołujących. Swiadczy jedynie o tym, że słuszne nieraz pomysły ulegają wypaczeniu przy realizacji i że pewne dziedziny naszego życia politycznego zapadły głęboko w trzęsawisko fikcji.

Władysław Kempowski.

Witold Łęgowski

Wady strukturalne naszego ustroju społeczno-gospodarczego

JEST rzeczą powszechnie znaną, że Polska w okresie przedwojennym cierpiała na brak równowagi gospodarczej, co wyrażało się przede wszystkim w tym, że ilość ludności pracującej w rolnictwie przewyższała znacznie ludność pracującą we wszystkich innych gałęziach gospodarczych łącznie. Cyfrowo wyglądało to tak, że w r. 1931 utrzymywało się z rolnictwa 60, 6%, z przemysłu 19, 4%, z innych zawodów 9, 7% ludności. Liczby te wskazują na to, że Polska była krajem głównie rolniczym, rzecz jednak ciekawa, że będąc nim pod względem zajęcia ludności nie posiadała żadnych dalszych cech kraju rolniczego, którymi są przede wszystkim niewielka gęstość zaludnienia oraz znaczna produkcja i wywóz płodów rolnych. Gęstość zaludnienia Polski przekroczyła krótko przed wojną 90 osób na km², czyli zostawiła daleko za sobą nie tylko kraje typowo rolnicze (Estonia, Łotwa, Litwa, Irlandia nie mówiąc o zaoceanicznych jak Kanada czy Argentyna), lecz i Francję a zbliżała się do poziomu takich krajów uprzemysłowionych, jak Szwajcaria, Czechosłowacja oraz środkowe części Niemiec.

Znaczna większość ludności polskiej mieszkała na wsi, co było przyczyną silnego jej przeludnienia. Ilość ludności wiejskiej przypadającej na 100 ha użytków rolnych wynosiła w r. 1938 — 85 osób, podczas gdy na Węgrzech 64, w Niemczech 45, a w Danii nawet tylko 34. Jeśli kto nie ma zaufania do cyfr, niech przypomni sobie obraz kilometrami ciągnących się wsi małopolskich z gęsto wzdłuż drogi stojącymi zabudowaniami i porówna to z szerokimi, pustymi prawie przestrzeniami, które widzi się w Niemczech, we Francji czy Anglii, gdy tylko wyjedzie się poza ośrodki miejskie. Gęstość ludności rolniczej powodowała oczywiście nadmierne rozdrobnienie gospodarstw rolnych — 84% gospodarstw przypadało na własność drobną poniżej 5 ha, około 3 milionów ludzi gromadziło się w gospodarstwach karłowatych poniżej 2 ha. Drobne te gospodarstwa nie mogły oczywiście w pełni zatrudnić żyjących w nich rolników; znaczna ich część była objęta przymusowym bezrobociem. Wszystko to składało się na przysłowiową nędzę polskiej wsi.

Sytuację pogarszał fakt, że Polska posiadała stale wysoki, choć ostatnio spadający, przyrost naturalny wynoszący w okresie między obu wojnami od 400 do 500 tysięcy głów rocznie, stojąc pod tym względem na jednym z pierwszym miejsc w Europie. Duża część tego przyrostu pozostawała na wsi i powodowała coraz to dalsze jej przeludnienie: od roku 1921 do 1931 ilość ludności wiejskiej wzrosła o przeszło dwa i pół miliona.

Pewną klapę bezpieczeństwa stanowiła zwłaszcza w pierwszym okresie niepodległości emigracja do Stanów Zjednoczonych, Południowej Ameryki oraz Francji; pochłaniała ona do roku 1930 przeciętnie około 140 tysięcy osób rocznie. Wielki kryzys gospodarczy oraz związane z nim i z polityką państw imigracyjnych utrudnienia wjazdowe spowodowały ogromny spadek tych liczb: w roku 1936 wyemigrowało z Polski tylko 35 tysięcy osób. Trzeba tu zresztą silnie podkreślić, że emigracja jest zjawiskiem niekorzystnym, z polskiego punktu widzenia należało ją traktować jako zło konieczne świadczące o zasadniczych wadach struktury gospodarczej kraju. W warunkach nowoczesnego nacjonalizmu element emigrujący jest na dalszą metę prawie zupełnie dla narodu stracony.

Produkcja rolna w Polsce, choć znaczna w cyfrach absolutnych, była niewielka w przeliczeniu na głowę ludności w porównaniu z innymi krajami, jak to wykazuje następujące zestawienie (w kg na głowę ludności):

Kraj	Pszenica i żyto (1930–34)		Mięso (1937)		Wywóz masła (1936)
	Produkcja	Wywóz	Produkcja	Wywóz	
Polska ...	250	11	23,5	1,7	0,3
Estonia ...	236	9	52,7	3,3	11,0
Dania ...	150	—	116,0	102,0	42,5
Francja ...	217	19,7	34,0	—	0,1
Niemcy ...	188	—	54,3	—	—
Kanada ...	920	527	70,7		
Argentyna	553	300	167,0	54,0	0,8
Australia	500	231	94,0		9,0

Pod względem produkcji pszenicy i żyta przewyższaliśmy nieco kraje przemysłowe, wykazywaliśmy jednak tylko ułamek wytwórczości zaoceanicznych krajów rolniczych. W mięsie staliśmy jeszcze gorzej, bo biły nas nawet kraje przemysłowe, a prócz krajów zamorskich Dania i Estonia wykazywały parokrotnie większą produkcję. Podobnie przedstawiała się sprawa wywozu, gdzie cyfry polskie były zupełnie znikome. Lecz nawet ten niewielki wywóz był eksportem głodowym, umożliwionym jedynie przez fakt, że konsumcja odnośnych produktów była u nas niezmiernie niska, n. w r. 1935 skonsumowaliśmy mięsa na głowę ludności 19, 2 kg, podczas gdy Anglia 63 kg, Dania 53 kg, a Francja 35 kg.

Byliśmy zatem krajem "rolniczym," który nie potrafił ani wyżywić należycie swej ludności, ani eksportem rolnym opłacić przywozu najpotrzebniejszych wytworów zagranicznych. Czy można dziwić się zatem, że w tych warunkach forsowaliśmy wywóz takich produktów jak węgiel i cukier po cenach wielokrotnie niższych od wewnętrznych?

Ponieważ dysproporcja pomiędzy Polską a państwami rzeczywiście rolniczymi jest przygniatająca, trzeba sobie z góry powiedzieć, że żadna intensyfikacja produkcji rolnej nie wyprowadzi nas z impasu gospodarczego, pozwalając co najwyżej na lepsze odżywianie ludności. Kraj, który jest tak gęsto zaludniony, nie może przy danym klimacie i danej glebie żyć na żadnym możliwym poziomie, gdy podstawą jego jest rolnictwo. Polska jest poprostu skazana na uprzemysłowienie. Dopiero wtedy wspomniany wielki nasz przyrost naturalny przestanie być czynnikiem powiększającym nędzę, a stanie się tym, czym być powinien — podstawą rozwoju Narodu.

Nadmiar ludności ze wsi nie odpływał do miast, gdyż nie było tam dla niego pracy. Przemysł wykazał wprawdzie w okresie między obu wojnami pewne postępy zdołał jednak wyżywić zaledwie 1/5 ludności. Ogromne połacie kraju były praktycznie zupełnie pozbawione przemysłu — 70 powiatów wykazywało ponad 80% ludności rolniczej, w 10 powiatach ludność żyjąca z przemysłu nie przekraczała 5%, przy czym należy pamiętać, że do kategorii zajęć przemysłowych zalicza się w statystyce zawodowej również wszelkiego rodzaju rzemiosło.

Brak tu miejsca, by omawiać szczegółowo niedorozwój naszego przemysłu, wystarczy stwierdzić, że pod względem produkcji wszystkich najważniejszych wytworów staliśmy niezmiernie nisko w skali już nie światowej czy europejskiej, lecz nawet środkowo-europejskiej. Nawet nasz przemysł hutniczy, który wydawał się nam tak imponujący, produkował zaledwie dwunastą część wytwórczości niemieckiej, ósmą angielskiej, czwartą francuskiej, połowę belgijskiej. Gorzej jeszcze przed-

stawiał się przemysł przetwórczy, gdzie np. krajowa produkcja maszyn nie pokrywała nawet trzeciej części naszego skromnego zapotrzebowania. Wiele gałęzi prawie nie istniało: nie myślimy tu tylko o takich wytworach jak silniki czy samochody, lecz nie każdemu zapewne wiadomo, że nie produkowano u nas niemal wcale kos!

Nadmiar rąk roboczych powodował szereg niezmiernie ujemnych zjawisk społecznych. Najgorszym z nich było bodaj t.zw. chałupnictwo, gdzie pracownik (najczęściej na poziomie rzemieślniczym — krawiec czy szewc) był nielitościwie wyzyskiwany przez fabrykanta-nakładcę, otrzymując nieraz za całodzienną pracę kilkadziesiąt zaledwie groszy.

Płaca robotników fabrycznych była oczywiście znacznie wyższa, ulegała jednak ogromnym fluktuacjom pod wpływem koniunktury. Pod tym względem robotnik polski znajdował się chyba w najgorszej sytuacji na świecie; realna wartość zarobków spadła np. z roku 1929 do 1932 o około 40%. O niskim poziomie życia robotnika polskiego świadczy to, iż 2/3 swego zarobku musiał przeznaczać na środki żywnościowe; budżet jego odbijał pod tym względem niezwykle niekorzystnie od budżetów robotników innych krajów. Ponieważ robotnicy mogli przeznaczać tylko niewielką część swych dochodów na opłacanie czynszu, warunki mieszkaniowe przedstawiały się fatalnie. Osławiona była pod tym względem Łodź, gdzie robotnicy mieszkali w wilgotnych i ciasnych izbach, przy czym na jedną izbę przypadało czasem po kilkanaście osób.

O ile przemysł cierpiał na niedorozwinięcie, to handel wykazywał raczej zbyt wielką ilość zatrudnionych. Nie było to jednak bynajmniej dowodem korzystnego jego rozwoju. Przeciwnie—struktura jego była wadliwa. Brakowało w wielu częściach Polski większych i nowocześnie prowadzonych sklepów, ogromną większość zakładów handlowych stanowiły drobne sklepiki. Przyczyny leżały nie tylko w stosunkach gospodarczych, lecz również w tym, że handel był opanowany w sposób przygniatający przez element żydowski, który częściowo nie mógł a częściowo nie chciał szukać zatrudnienia w innych dziedzinach gospodarczych. Każdy z nas ma żywo w pamięci widok przeciętnego miasteczka małopolskiego czy kresowego, gdzie sklepiki żydowskie natłoczone jeden na drugim tworzyły obraz beznadziejnego zaniedbania, brudu i nędzy. Wartość towaru będącego w takim sklepiku na sprzedaż nie przewyższała nieraz sumy kilkunastu złotych, a konieczność utrzymywania licznych rodzin z minimalnego obrotu podnosiła koszty handlowe, powodując dużą rozpiętość między cenami hurtowymi a detalicznymi. Poza tym istniała liczna nieproduktywna warstwa pośredników wszelkiego rodzaju, która ciążyła poważnie na naszym życiu gospodarczym.

Stosunki w handlu hurtowym nie były wiele lepsze. Kto dobrze przypatrzył się niekończącym się podwórzom Nalewek, łatwo zrozumie różnicę między poziomem tego handlu w Polsce a w krajach sąsiednich, na przykład w Czechosłowacji. Szczególnie niezdrowe stosunki panowały w koncentrującym się w Łodzi hurtowym handlu towarów włókienniczych. Handel eksportowy rozproszkowaniem swym i brakiem organizacji utrudniał przez długie lata standaryzację wywozu, co przyczyniało się do tego, że polskie wytwory osiągały na przykład na rynku angielskim ceny niższe niż duńskie, łotewskie czy litewskie. Trzeba jednak przyznać, że włożono ostatnio dużo pracy w to, by handel ten podnieść do poziomu europejskiego.

Po przedstawieniu sytuacji w rolnictwie, przemyśle i handlu przechodzi się w rozważaniach ekonomicznych zwykle do finansów i kredytu. W artykule tym ograniczamy się jednak rozmyślnie do tamtych dziedzin, gdyż finanse nasze i stosunki kredytowe były tylko krzywym zwierciadłem położenia w dziedzinach zasadniczych. To, że nie posiadaliśmy wielkich kapitałów i że oszczędności gromadzące się w bankach i kasach były stosunkowo nie znaczne, nie było przyczyną wad strukturalnych polskiego życia gospodarczego, lecz ich skutkiem. Omawianie problemów finansowych nie dałoby zatem żadnych wskazówek co do przebudowy tego życia w przyszłości.

* * *

W uwagach powyższych staraliśmy się dać przekrój struktury gospodarczej Polski takiej, jaką opuściliśmy w 1939 r. Mimo, że przedstawiony obraz wypadł raczej ponuro, nie było bynajmniej naszym zamiarem potępiać przeszłości. Chodziło jedynie o wykazanie organicznej wadliwości samej struktury, którą zresztą Polska odziedziczyła po zaborcach i którą starano się w pewnym stopnie naprawić. Nie było naszym zamiarem zwalanie winy na kogokolwiek, choć przewiny dawnego kierownictwa polskiego życia gospodarczego były niewątpliwie znaczne. Artykuł niniejszy pisany jest przede wszystkim z myślą o przyszłości. Trzeba sobie zdawać jasno sprawę z braków, by móc szukać dróg wyjścia. Jest bowiem niewątpliwie ambicją narodu polskiego uzdrowić swe życie gospodarcze po ponownym odzyskaniu niepodległości, choćby drogą radykalnych i zasadniczych przemian. Kierunkom tych zmian i celom, do których powinny dążyć, będzie poświęcony w następnym numerze "Myśli" artykuł pt. "Przebudowa gospodarczo-społeczna Polski."

Witold Łęgowski.

Ewa Olszeńska

BROŃ, KTÓRA ŁAMIE WSZYSTKIE FRONTY

TĄ bronią jest radio. Świat się jeszcze do niej nie przyzwyczaił. Jeszcze istnieje wobec radia onieśmielenie i nieuzasadnione zażenowanie. Przyjęto ten wynalazek do świadomości, nie wgłębiając się w jego tajemnice. Człowiek realny podszedł do zagadnienia rzeczowo. Nagiął radio do roli użytkowej, ale narazie bardzo powierzchownie. Użytkując je zaś w normalnym okresie pokojowym, szukał w nim wypoczynku i rozrywki nie wymagającej większego wysiłku. Dlatego nie odrazu dostrzegł, że w wynalazku zawarte są możliwości o wiele szersze, w wiele bogatsze i o wiele bardziej złożone, aniżeli w pierwszej chwili jego narodzin podejrzewano.

Dla fali radiowej nie istnieją granice, niema dla niej szlabanów, niema urzędów celnych, ani ograniczeń dewizowych. Radio wyeliminowało odległość. Jego naistotniejszą cechą i zarazem największą siłą to właściwość przenikania najgrubszych murów fortecznych, zdobywania największych odległości w najkrótszym czasie, przekraczania bagnetami najeżonych granic.

Człowiek nie zdołał się jeszcze z tym wszystkim oswoić. Spoufalenie przyjdzie samo. Potrzeba tylko czasu. Przeskok był za wielki. Musi najpierw ulec przemianie pewna sfera potocznych pojęć i doświadczeń. A to w wielkich masach ludzkich wymaga długiego procesu. Ale wojna ma klimat krwawej cieplarni: skraca wszystkie procesy.

Aby zrozumieć niezmierzone możliwości fali radiowej, warto się przyjrzeć jej udziałowi w awansie politycznym hitleryzmu. To ona jest sprawczynią tego zjawiska, w którego fatalnym kręgu żyjemy do dziś dnia. Nigdzie dobitniej nie objawiło się — jak dotąd — znaczenie radia w życiu pewnej grupy społecznej, w pewnym politycznym kompleksie, aniżeli w Niemczech na przestrzeni lat 1923–1933.

Niemców — licząc ich statystykami — jest 80 miljonów. Gdyby nieznany nikomu kapral I. Wojny Światowej chciał osobiście "obsłużyć" audytorium o takiej liczebności — ta zgoła syzyfowa praca zajęłaby mu więcej lat aniżeli przeciętnie trwa życie ludzkie. Świadkowie pierwszych lat wystąpień "führera" powiadają z pietyzmem, że miewał okresy, kiedy dwie mowy dziennie, wygłaszane w dwóch różnych miejscowościach, nie należały do rzadkości. Niekiedy zaś mijało dwa do trzech miesięcy bez wypoczynku, bez opuszczenia jednego dnia.

Gdyby nawet wiarogodne zeznania podwyższyć z dwóch mów na cztery dziennie, to proste obliczenie czasu podróży, przygotowywania tekstów i niezbędnego wypoczynku, wykazałoby, że w ciągu dziesięciu lat Hitler mógłby się zetknąć osobiście zaledwie z taką ilością ludzi, jaka zamieszkuje, powiedzmy, Hamburg. Nie większą. Nie mówiąc już o tym, że zagadałby się na śmierć.

REWOLUCYJNOŚĆ RADIA

Propaganda nie jest rzeczą nową. Znały ją wszystkie epoki, kultury i wojny. Ale dopiero radio uczyniło z niej — broń, stało się jej ramieniem o nieograniczonym zasięgu. Propaganda z podstępu, improwizacji i przypadku awansowała na odrębną naukę. Przestała być dziedziną dostępną dla każdego laika, improwizatora czy dyletanta. Propaganda wymaga wiedzy, znajomości psychologji, języków obcych, warunków lokalnych państwa, na które ma działać, wreszcie umiejętności z zakresu polityki międzynarodowej. Są to podstawowe czynniki, bez których żadna propaganda nie może być prowadzona. A pozatem imaginacja i czynnik artyzmu, które mają również wiele tu do powiedzenia, łącznie dopiero czynią z propagandy substancję barwną, ciekawą i narzucającą się przemożnie najszerszym masom.

Zasadniczym instrumentem działania radiowego jest umówiony i opatrzony znaczeniem dźwięk. A więc przedewszystkiem słowo. A słowo jest niespożyte. Nie ginie od pocisku armatniego, a bomba, czy mina lądowa nie jest w stanie go zniweczyć. Słowo jest wolne i wolne zostanie. Jest najsubtelniejszym, najbardziej precyzyjnem narzędziem, a nadewszystko, najsilniej trafiającym do systemu myślowego odbiorcy znakiem porozumienia. Fala radiowa zwielokrotnia słowo, dostarcza mu bespośredniości, przydaje mu owej nieokreślonej siły, która potrafi przestawiać poglądy, umacniać jedne, obalać drugie. Daje moc, która wywołuje gniew i radość, smutek i ból.

Człowiek przemawia do człowieka słowem. Przez mikrofon dyskusja ta jest tylko pozornie jednostronna; odpowiedzią na słowo radiowe jest przecież żywsze uderzenie serc. Słuchacz przyjmuje usłyszane słowo indywidualnie. Mówca przemawia wprost do słuchacza, odwołując się do jego uczucia lub do jego intelektu. Ale również i do jego woli. Im bardziej zaś ta rozmowa staje się intymna, im więcej zacieśnia się węzeł porozumienia, tym bardziej słuchacz zapomina, że jest tylko jednym z wielu milionów, które to samo w tej chwili słyszą. Nabiera przekonania, że to właśnie dla niego i tylko dla niego, wydobywające się z głośnika słowa są przeznaczone. A cóż bardziej może ujmować jak poczucie pewnej wyłączności? Im głębsze to złudzenie, tym skuteczniejsze słowo, tym sugestywniejsze, tem bardziej budzi zaufanie rzucone w mikrofon hasło. P o p r z e z p r z e k o n a n i e j e d n o s t k i m ó w c a r a d i o w y z d o b y w a d l a s w o j e j m y ś l i — z b i o r o w o ś ć.

Mówiąc nawiasem, istnieje pewna antynomia w samej istocie techniki przemawiania przez radio. Zasadniczym postulatem jest, aby zbiorowość, spajana dźwiękiem jednego głosu wysyłanego przez radiostację, była jaknajliczniejszą. Owo dążenie do rozszerzenia liczebności, do ogarnięcia możliwie całej, bez reszty, grupy społecznej, na którą chce się uzyskać wpływ, powoduje automatyczne zwężanie tekstu przemówień do sformułowań najbardziej ogólnych. Tymczasem najsilniejszy wpływ, najgorętsze uderzenia serc osiąga się wtenczas, kiedy i tekst również sprawia wrażenie możliwie najdalszego zindywidualizowania. Stąd pochodzi w audycjach radiowych bardzo typowa, choć często niewygodna, tendencja do zwężenia audycji, która wyraża się w przygotowywaniu pogadanek lub słuchowisk dla specyficznych i określonych środowisk, dla robotników, dla wojska, marynarki młodzieży i t. p. W takich razach robotnik czy żołnierz słuchający audycji ma tym silniejsze poczucie wyłączności. Faktem jest jednak, że grupa nawet wszystkich żołnierzy nie wyczerpuje całego społeczeństwa. Liczba współ-słuchaczy choć mniejsza, jest tylko częścią całości. Uniknąć tej niedogodności można przy pomocy dokładnego i naprzód opracowanego planu audycji grupowych, które, w końcowym efekcie, zamykałaby jednolita we wszystkich wypadkach, synteza.

Istnieją więc pewne wewnętrzne sprzeczności i utrudnienia w samej istocie audycji radiowych. Przy okazji warto wspomnieć o niesłychanej czułości radia na wszelką sztuczność. Właśnie radia, które w oczach przeciętnego człowieka, jest tylko maszyną, samym ekstraktem ducha techniki. Otóż staje się rzeczą oczywistą, że czynnikiem warunkującym powodzenie emisji radiowej jest uzyskanie bezpośredniości wrażenia. Doświadczenie uczy, że, aby takie wrażenie naprawdę wywołać, należy eliminować, a przynajmniej ograniczyć, używanie, naprzykład, płyt z nagraniami przemówień, pogadanek, reportaży i.t.d. Płyta, jak się okazuje, choćby najdoskonalsza, pozbawia głos ludzki, .w pewnym stopniu, barwy i naturalności. Pozatem słuchacz odnosi się do płyty — inaczej, z mniejszym zainteresowaniem. Doświadczenie uczy więc, że słuchacz reaguje silniej na głos żywy niż na nagranie mechaniczne przemówień.

W Radio tkwi tak wiele, tak potężnych i tak specyficznych możliwości, iż w związku z tym, powstaje zjawisko stwarzania przez nie nowej k o n k r e t n e j r z e c z y w i s t o ś c i, czegoś, co można by nazwać zdolnością materializacji rzeczy dotąd nie istniejących.

W roku 1938 jedna z radiostacji amerykańskich nadała słuchowisko Orson Wells'a p.t. "Najazd Marsjan." Bezpośredni okres przed wojną był czasem — jak to pamiętamy wszyscy — eksperymentowania zasad i prawideł słuchowiska radiowego. Radiostacja amerykańska, nadająca wspomniane słuchowisko, poszła również na eksperyment. Audycję rozpoczęto nagłym przerwaniem dziennika prasowego. Zdyszany speaker oznajmił słuchaczom w słowach prostych, trochę nawet chaotycznych, że oto w tej chwili, na terenie zachodnich Stanów wylądowali Marsjanie i rozpoczęli metodyczne okupowanie miast amerykańskich. Dalszy tok słuchowiska, zawierał doniesienia w słowach, wywołujących wrażenie autentyczności, o postępach Marsjan, o ich okrucieństwie, mordach i grabieży. Złudzenie rzeczywistości, stworzone przez radio, było tak wielkie, że w szeregu miast amerykańskich powstała panika. Telefony redakcyjne urywały się od zapytań. Ludzie pakowali dobytek na samochody i uciekali bezplanowo poza miasto. Groza niewidzialnego i straszliwego niebezpieczeństwa zawisła nad Stanami. Reszty dokonała wszechpotężna plotka. Jeszcze kilka dni po audycji było wielu ludzi, którzy na serio przejmowali się najazdem Marsjan, choć przestraszone towarzystwo radiowe kilkakrotnie nadało uspokajające wyjaśnienia. Prasa europejska komentowała to wydarzenie, jako objaw naiwności amerykańskiego człowieka ulicy. Objektywnie mówiąc, było to wspaniałe osiągnięcie w dziedzinie radiowej. Nierzeczywiste stało się rzeczywistością. Trudno o większy sukces. W Polce miał zresztą miejsce podobny wypadek, jakkolwiek w odmiennej nieco skali. Polskie Radio w dwóch czy trzech audycjach, nadało platońską "Obronę Sokratesa." Słuchowisko to pozbawione — w przeciwieństwie do imprezy amerykańskiej — wszelkiego efekciarstwa i eksperymentatorstwa, była ewokacją wspaniałej poezji słowa mówionego jego siły i jego sugestji. Po audycjach poczęły przychodzić listy od ludzi prostych, w których autorzy w gorących słowach ujmowali się za Sokratesem. Niektórzy radzili nawet, aby się zwrócił do Sądu Apelacyjnego, ponieważ byłoby wielką niesprawiedliwością, iżby taki człowiek miał być zmuszony do zażycia trucizny.

Straszliwą i potężną, wspaniałą, młodzieńczą, groźną, zjadliwą i niszczącą jest fala radiowa. Wydaje się, że może przekształcić świat.

Niestety pierwsi ze wszystkich zrozumieli to Niemcy.

WYMARSZ NA PODBÓJ ŚWIATA

Ameryka i Niemcy — to dwa kraje, które pierwsze pojęły, że umiejętność przekonywania ludzi poprzez słuch jest zagadnieniem wymagającym specjalnego przygotowaniu. W obydwóch tych krajach zrozumiano to zarówno w teorii jak i w praktyce. W Ameryce z przystosowaniem do życia gospodarczego, w Niemczech do myśli o podboju świata.

(Osobnym zagadnieniem jest sprawa propagandy i radia w obrębie Rosji Sowieckiej. Rozrosły się one tam do olbrzymich rozmiarów, choć nabrały specyficznego charakteru.)

Zacząwszy od frontu domowego, Niemcy rozbudowały propagandę na niespotykaną dotychczas skalę, zarówno wewnątrz kraju jak i z obliczeniem na teren zagraniczny. Raz

doszedłszy do politycznych wniosków na temat użyteczności narzędzia propagandowego, Niemcy rozwinęli nowe pomysły, metodycznie i planowo. Stworzyli instytuty przy poszczególnych uniwesytetach (największy w Berlinie), mające za zadanie przeprowadzenie badań teoretycznych. Powołano do tej pracy najtęższe mózgi, profesorów psychologji, etnografii, nauk matematyczno fizycznych, ekonomii i.t.d. Instytuty owe posiadają laboratoria eksperymentalne, które badają wypracowane wzory na materiale ludzkim.

W miarę rozwoju techniki radiowej niemieccy propagandyści zwrócili zachłanne oczy na mikrofon. Przy "Deutsche Rundfunk" w Berlinie powstaje centralne laboratorium, gromadzące najwybitniejszych ludzi ze wszystkich dziedzin życia i nauki. Nowej instytucji przydzielono specjalnych politycznych i wojskowych instruktorów.

Pierwszym i zasadniczym założeniem wstępnych prac radiowych było dostosowanie całego życia radiowego do naczelnej zasady ideologii narodowo-socjalistycznej, mianowicie do zasady wyłączności, która tak wyraźną rolę odgrywa w propagandzie niemieckiej. W następstwie tej zasady od roku 1933, wydawnictwa, a nadewszystko radio zostały poddane jednemu kierownictwu, jednej woli i jednej treści.

Z tej wyłączności właśnie wypłynęło inne, charakterystyczne dla ustrojów totalnych, zjawisko. Jest nim, z jednoczesnym poddaniem całego społeczeństwa jednemu typowi propagandy — dążenie do izolowania tego społeczeństwa od wpływów propagandy obcej. Ma się tu do czynienia ze zjawiskiem, które do takiej perfekcji doprowadzone zostało w Sowietach. Olbrzymie przestrzenie i dystanse pozwoliły Rosji zasadę izolacji rozwiązać w sposób doskonały. Położone w środku Europy, na skrzyżowaniu zasięgów wielkiej ilości stacji nadawczych — Niemcy musiały użyć innych, niż w Rosji, sposobów izolacyjnych: początkowo dawały programy na tak wysokim poziomie i tak atrakcyjne, ażeby samym ciężarem gatunkowym mogły przeważyć "towar" zagraniczny. Trzeba przyznać, że w zakresie organizacji audycji radiowych, pomysłowości i szybkiego postępu, uczyniono w Niemczech bardzo dużo. W praktyce w bardzo wielu wypadkach słuchacz tak pozytywnie był nastawiony do własnego programu, że poprostu nie zdradzał ochoty do szukania wrażeń na innej długości fali.[1]

Środek ten jednak w zastosowaniu do mas okazał się niewystarczający. Więc w stosunku do wyłamywania się z subordynacji radiowej zastosowano pojęcie nowego "grzechu." Grzechu przeciwko mistyce narodowego socjalizmu popełnianego przez słuchanie obcych emisji. To pojęcie, wyolbrzymiane z miesiąca na miesiąc, zakłóciło poczucie proporcji. Grzechem jest słuchanie zagranicznych stacji a chwalebną denuncjacja "winnych" przestępstwa. Dziś to już nie grzech, to zbrodnia. Karze się za nią śmiercią, w najlepszym zaś razie ciężkim więzieniem.

To najdokładniejsze odosobnienie, to odcięcie nietylko od wpływów, ale i od wiadomości z zewnątrz, uczyniło społeczeństwo niemieckie łatwowiernym i podatnym materjałem na wszystko co kuźnia radia niemieckiego puszcza na mikrofon.

W ten sposób spreparowano na działanie radia wewnątrz kraju społeczeństwo niemieckie. Ale radiowi propagandyści z polecenia najwyższych kierowników polityki Trzeciej Rzeszy mieli większe ambicje i szersze zadania. Chodziło o zdobycie zagranicy. Tu trzeba było uciekać się do innych środków. I oto wyłonił się jeden z najbardziej podstawowych chwytów propagandy niemieckiej, w jej działalności zagranicznej: **rozdmuchiwanie w każdym kraju wewnętrznych konfliktów** do możliwie największych rozmiarów. Do celu tego służy, jak żadne inne narzędzie, fala radiowa. Powtarzać ustawicznie Belgom, że nie są jednym narodem, podburzać Flamandów na Wallonów i odwrotnie, rzucać skomunizowany proletariat francuski na rekiny finansowe z Place de la Concorde i Etoile, podburzać ukraińską ludność Polski na prawowity rząd, wytykać mu każde potknięcie w zakresie polityki mniejszościowej !

[1] Warto zwrócić uwagę na pomysł wprowadzenia na rynek taniego odbiornika popularnego, nienadającego się jednak do czystego odbioru stacji zagranicznych.

Zgodnie ze statystyką ogłoszoną przez biuro Goebbelsa w kwietniu 1941, niemieckie radio posiadało 14.9 miljonów abonentów (łącznie z Austrią i Sudetami). Cyfra podana w listopadzie 1941 wynosiła 16.2 miljony.

Podstawą i punktem propagandy niemieckiej wewnętrznej i zewnętrznej jest k ł a m s t w o. Im większe tym lepiej.

I dziś oto po przeszło dwóch latach wojny, zasada ta tak wiernie i skutecznie początkowo działająca — poczyna zawodzić. Świat nie daje się dłużej oszukiwać. Świat zrozumiał. Późno, ale gruntownie.

Wewnątrz Niemiec jednak nie można już zawrócić z raz obranej drogi. W Niemczech sprawy posunęły się zadaleko. Skręcona i zwichnięta psychologja kłamstwa i wiary w nie zbyt głęboko się zakorzeniła.

Od każdego innego narodu możnaby oczekiwać, że przejrzy. Od Niemców — nie. Conajwyżej może poddadzą się innej równie dynamicznej i równie bezwzględnej propagandzie.

Cokolwiek możnaby powiedzieć o zasadach propagandy niemieckiej za pośrednictwem radia, trzeba stwierdzić, że w tej olbrzymiej maszynie istnieje jednak koncepcja. Koncepcja zła, destrukcyjna, podstępna, ale przecież koncepcja na gigantyczną miarę. Stan rzeczy jest taki, że każdy, ktokolwiek chciałby się czynnie przeciwstawić radiowej propagandzie niemieckiej **musi niemieckiej koncepcji przeciwstawić koncepcję własną.** Co więcej, ta przeciwstawiona koncepcja musi mieć ten sam wymiar, ten sam dynamizm, chociaż musi i powinna się opierać o innę zasadę.

Obóz Sprzymierzonych w dziedzinie propagandy miał od pierwszej chwili wojny ustalone zasady, jakimi przeciwstawiał się radiowej propagandzie Rzeszy.

Była to zasada prosta, niemal naiwna — mówić p r a w d ę, nie uciekać się do fałszu i podstępu. Cecha naiwności zasadzała się na straszliwyn kontraście pomiędzy lawiną kłamstw i nieefektowną, szarą prawdą, która wydawała się w takich warunkach zupełnie bezbronna.

Ale ta pozorna naiwność nie była słabością. Słabość była i tkwi gdzieindziej. W fatalnym przyzwyczajeniu, które sprawia, że człowiek walczący prawdą, ograniczony jest w środkach działania, że musi się liczyć z ich wyborem, że nie wolno mu używać wielu metod, przed którymi przeciwnik się nie cofa. Jest to jednak nieuniknione i na dłuższą metę staje się siłą. Nagromadzony w ten sposób potencjał moralny musi przynieść plon. Istotna zaś słabość kryje się naprawdę w czymś zupełnie innym: w tym, **że przedstawiciele prawdy przyzwyczaili się być mniej pomysłowi, mniej zwinni i giętcy, a nadewszystko wolniej działający.** Zło zwykło zawsze mieć na swoje usługi całą gamę wynalazczości, precyzji i pomysłowości. Prawda nie nauczyła się jeszcze rozwijać po swej stronie tych cech.

W powyższym ujęciu mieści się najważniejsze zagadnienie w zakresie propagandy wojennej. Ten schemat przekonań o niezaradności prawdy, ustalony przez wiele lat praktyki i wiele sytuacyj, jest z gruntu fałszywy. Trzeba go złamać. Na usługach prawdy i słuszności może i musi wreszcie stanąć ta sama doza **pomysłowości, inicjatywy i szybkiego działania.**

Radio jest dzisiaj narzędziem walki. Powoli zaczyna się wreszcie ustalać powszechne przekonanie, że ci, którzy chcą wygrać wojnę, nie mogą ograniczać się tylko do skutecznej defenzywy. W zakresie propagandy radiowej także !

BROŃ O DWÓCH OSTRZACH

Na terenie zajętego przez Niemcy obszaru Europy Gestapo rozstrzeliwuje miesięcznie kilkudziesięciu ludzi za słuchanie nieprzyjacielskich stacji radiowych. Dlaczego aż tak straszliwa kara za to "przestępstwo"? Żadne twierdzenie nie może w sposób dobitniejszy podkreślić i podnieść skuteczności broni radiowej, jak te salwy plutonów egzekucyjnych w krajach okupowanych. Kara śmierci dlatego, że dobra audycja radiowa może wzburzyć wielkie masy ludzi, może zasiać wątpliwości, może między tryby maszyny wojennej rzucić ziarna piasku. A nadewszystko może odgrzebać nawet w człowieku totalnego państwa zatracony i uśpiony zmysł moralny i odwołać się do niego.

W wojnie obecnej czynnik moralny odgrywa już teraz wielką rolę, wyjdzie zaś na plan pierwszy i decydować będzie o wyniku w końcowej fazie wojny.

Reasumując poprzednie stwierdzenia, trzeba bardzo silnie podkreślić fakt, że fala radiowa jest narzędziem wojny o olbrzymich możliwościach. Że radio, które do chwili obecnej wyrządziło tak dużo szkód stronie Sprzymierzonych, które

przyczyniło się do wywołania wojny, które miało swój udział w przebiegu działań wojennych, wywierało presję na kraje neutralne — jest przecież bronią o dwóch ostrzach. Służyć może do ataku, **ale również i do przeciwnatarcia.** Należy tylko z tej oczywistości wysnuć odpowiednie, pełne i szybkie wnioski.

Wyobraźnia jest składnikiem, który musi mieć swój prawowity udział w zabiegach o zwycięstwo. Ludzie, którzy nad losem tej wojny czuwają, powinni mieć w każdej chwili pełną świadomość tego, co się na kontynencie dzieje. **Muszą odczuwać rzeczywistość kontynentu.** Olbrzymim napięciem woli i wyobraźni muszą uświadamiać sobie, że oto na terenie Europy, z wyjątkiem małych skrawków, żyje ponad sto pięćdziesiąt miljonów ludzi, którzy noszą w sobie bunt.

Bunt przeciw ładowi narzuconemu przez Niemcy. Bunt tłumiony najdoskonalszym, jaki znają dzieje, systemem policyjnym. Im bardziej jednak tłumiony, tym więcej sił mobilizujący.

W poprzednich wojnach odwołać się do tego buntu poprzez fronty było trudno. Dziś dano do ręki człowiekowi środek, ktory przenika wszystkie granice i trafia w jednej chwili do zbuntowanego serca ludzkiego. Tym środkiem jest radio. Radio musi podtrzymać ducha rewolty, ale musi również zapobiec przedwczesnemu jej wybuchowi.

W ramach tych zasadniczych warunków, zadania rysują się zupełnie wyraźnie: **powiedzieć buntującemu się, że nie jest sam, — podtrzymać go, określić i uzasadnić konieczność czasu oczekiwania, wskazać sposoby przetrwania, a w końcu — dać sygnał.**

Jeżeli przywołać na pomoc raz jeszcze współczynnik wyobraźni, nie trudno jest znaleźć dla rzucanego w eter, a docierającego do olbrzymich mas ludzkich — słowa, właściwe określenie: jest ono wtedy dynamitem.

FALA JEST GROŹNIEJSZA OD POCISKU

Wszystko jest jasne i oczywiste. Nic w tych stwierdzeniach niema właściwie nowego, żadnych nowych postulatów się nie wysuwa. Większość z nich dotychczasowa praktyka już realizuje. To, czego jeszcze brak — to są rzeczy wymykające się zbyt prostym sformułowaniom. Rzeczy tkwiące w samej tajemnicy radia, która jest odmienna od wszystkiego, czym się dotąd walczyło.

Radio jest najlotniejszym sposobem komunikowania wiadomości. Stąd płynie wiele jego wymagań i warunków, które — niespełnione — czynią ze wspaniałej broni — **ciężką, niewspółczesną machinę,** stającą się w okresie blitzkriegu i pożaru całego świata — niemal anachronizmem.

* * *

To tylko kilka myśli z zakresu spraw radiowych. Szczegółowym wycinkiem tych zagadnień to sprawa radia w odniesieniu do Polski. Ale o tym kiedyindziej i osobno.

Ewa Olszeńska

(Ciąg dalszy **NOT I UWAG**
ze str. 382 — poniżej i obok)

Alan Graham mówił i o granicach naszych wschodnich, mówił ogólnie i pośrednio, ale znamiennie. Zacytował mianowicie, jak się wyraził, gentlemana. któremu na imię jest Karol Marx, i przeczytał ustęp w którym Marx domagał się wymownie potężnej Polski w granicach **conajmniej** 1772 r. W ten sposób ,zakończył prelegent, przekonujemy się, że wielki patron ideologiczny Związku Sowieckiego żądał znacznie więcej dla Polski niż dziś

Jerzy Pietrkiewicz

* * *

Co mniejsze — tym bardziej własne !

O, ziemio w obręczach stalowych !
Jak południki, jak równoleżniki
samoloty zakuły cię w czasie.

Coraz bardziej, coraz bardziej ciasne
wszystkie przesmyki.
Spójrz na wyspy — to tonące głowy
lądów, co na dnie oceanów kładą
kredowe stopy.

I jeno fala kośćmi o brzeg rzuca,
jeno wiatr grabarz suchotnicze płuca
wypluwa z krwią.

Co mniejsze — tym bardziej własne.

Na Mont Everest jak na kapitańskim mostku
ostatni człowiek wpisany w krąg słońca
stanie i światłem zachodu skrzydlaty
śmierci zda raport !

Ziemio — Golgoto, płynąca żółcią i octem,
w pięść Kainową skurczysz się w Dzień Końca,
i nie przestaniesz wygrażać zaświatom
zacięta w grzechu.

Przesmyki się dławią — wyspy toną,
wiatry o trupim oddechu
nad Józafata Doliną
krążą jak kruki.

Zapóźno serca wprawiać w piersi dzwonom ?
Zapóźno miecze bierzmować krzyżami ?

O, święty Tomaszu z Akwinu,
módl się za nami . . .

(Pisane w Wielki Piątek 1942 r.)

O HORYZONCIE WOJENNYM

"Myśl Polska" po raz pierwszy nie daje w tym numerze "Horyzontu wojennego". Nie mając możności chwilowo opracowania dokładniej nowych problemów wojennych, ani odpowiednio wiele miejsca w numerze, zamierzamy dać Czytelnikom gruntowniejsze opracowanie spraw wojennych w numerze następnym. Dziś krótko tylko zaznaczymy, że jest wiele oznak, m.i. mowa Hitlera, że Niemcy są o wiele słabsze, niż się przypuszcza powszechnie, i że wobec tego mogą nie dążyć w tym roku do jakiegoś "decydującego uderzenia". Zależeć to będzie m.i. od działań wojennych japońskich.

WYJAŚNIENIE DZIAŁU RADIOWEGO M.I.

Z polskiego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji otrzymujemy następujący list:

Muszę Panu Redaktorowi wyrazić dużą wdzięczność za czujną uwagę, jaką redakcja "Myśli Polskiej" poświęciła audycjom radiowym, co wyraziło się w Pańskich "Uwagach" na temat karygodnej pogadanki Kokorniaka w niemieckiej audycji B.B.C.

Przy okazji pragnę równocześnie zakomunikować Panu, że zanim Pańskie cenne pismo ukazało się w druku, ta przykra i bolesna sprawa została już załatwiona o tyle, o ile sprawę wygłoszonej już pogadanki można w ogóle jeszcze załatwić.

Byłbym wdzięczny za umieszczenie tych kilku słów na łamach "Myśli Polskiej".

Kierownik Działu Radiowego M.I.

Leontyna Godlewska

Jedna z wypraw . . .

(Opowiadanie)

"JAK było z Berlinem? — powtórzył Ochal pytanie. "Hm, nic coby mogło interesować. Zresztą jutro mogę Pani opowiedzieć wszystko dokładnie — uśmiechnął się słodko i mrugnął łobuzersko okiem.

"Dziś, koniecznie dziś i zaraz bo . . . . jutro kończy Pan urlop" — nie dałam się zwieść.

Roześmiał się.

"Rano na nic się nie zanosiło. Dzień był piękny — tylko, że tej angielskiej pogodzie, to nigdy nie można wierzyć — westchnął.

Przed południem wiedzieliśmy, że będą loty. Ale cel był okryty mgłą tajemnicy. Dopiero w przerwie obiadowej dowódca dywizjonu wyjaśnił: "Macie dziś piękny cel. Z naszego dywizjonu tylko trzy załogi . . . z tamtego dwie."

Jaki? — spytałem.

"B" — rzucił w przejściu.

Hm, jeśli Bremen. . no to nic szczególnego, chyba że . . . . . Tu "zatkało" mnie. Niemożliwe! Ale kiedy usłyszałem twierdzącą odpowiedź — radość szalona!

Berlin! Nareszcie! Miejsce marzeń każdego bombardiera.

Przygotowania staranniejsze niż zwykle.

Godzinę przed startem na operację byliśmy na wyznaczonym lotnisku.

Uzupełnienie paliwa. Dokończenie ostatnich przygotowań. 0 19.10 start.

Wzięliśmy pierwszy kurs.

Ufając przepowiedniom meteorologów, którzy zapowiadali piękną pogodę i na trasie i nad celem — spodziewaliśmy się lotu nielada.

Brzeg Anglii przekroczyliśmy ponad chmurami i nie widząc go zmieniliśmy znowu kurs. (Prędzej niż się spodziewaliśmy, bo nawet nie nabraliśmy odpowiedniej wysokości). Zrobiłem dwa namiary radiowe — dały mi położenie i pokazały, że wiatr jest silniejszy i trochę . . . . z innym kierunkiem. Zmieniłem kurs.

Niemcy po drodze strzelali dość słabo. Trochę reflektorów, zresztą "mizernych," bo przez chmury.

Ale "fine weather" meteorologów "nawaliła" całkowicie. Nietylko co do wiatru — ale pod nami całe zwały chmur — a czasem nawet na naszej wysokości.

Czas dolotu zbliża się. Powinni do diabła strzelać "mocniej." Bosze jednak siedzą cicho. Są chytrzy: myślą, że nie zobaczymy miasta pod chmurami i polecimy dalej. Ale nie, nasze głowy są nie tylko do noszenia kasków — zmieniamy jeszcze raz kurs i prosto na cel.

Pierwszy błysk reflektora i wybuch pocisku artyleryjskiego witamy z radością. Aha!—nareszcie!—pomyślałem z triumfem.

Coraz więcej reflektorów. Strzałów też. Lecimy dalej już tylko unikami. Duża przerwa w chmurach. Kierunek na nią. Zimno. Palce grabieją. Nie mogę otworzyć okienka aparatu foto.

Rzucam dwie bomby oświetlające, ale żadna jak na złość się nie zapala. Przez mgłę jednak widać zarysy miasta. Mała zmiana kursu i sypiemy bomby. Szkoda tylko, że tak mało. Serce się kraje. Włączam foto — koniec.

Skręt na nowy kurs. Przed nami daleko w dole cztery silne błyski — to nasze bomby "pękają." Za nami dopiero zaczyna się "wesele." Prują szwaby zdrowo. Ale teraz mogą — ile chcą. "Grat" ucieka pierwszorzędnie.

Parę uników przed łapiącemi nas mackami reflektorów.

I znowu tylko chmury pod nami, nad nami gwiazdy i "moon" . . . . .

Zawsze do domu leci się przyjemnie, ale dzisiaj, pożal się Boże. Pod wiatr. Maszyną rzuca okropnie. Przelatujemy przez śnieg, potem deszcz — wogóle. . . . "fine weather."

Schodzimy niżej — tlen ograniczamy do minimum.

Trochę lepszej pogody. Widać nawet małe miasteczko — przydałoby się jeszcze trochę bomb — takie ciche i spokojne . . . . — pomyślałem żałośnie.

Robię dwa namiary radiowe. Chcę ustalić pozycję — ale coś nie idzie. Prawdopodobnie zaburzenia magnetyczne.

Na ziemi widać znaki dawane dla myśliwców niemieckich. Trzeba zmieniać kurs kilkakrotnie. Wszystko to jednak głupstwo — ale gdzie jesteśmy, do stu par. . . . Za 5 minut powinien być brzeg morza, a tu nic nie zdradza jego bliskości — nowe przekleństwo utknęło mi w gardle. Nie chcę się przyznać załodze, że nie wiem gdzie jesteśmy. Nie chcę ich niepokoić — ale coś nie dobrze! Mija 10 minut . . . . pół godziny . . . .

Zniosło nas na południe — błysnęła myśl — i teraz hulamy nad Francją zamiast nad Holandią — tam do licha!

"Na oko" podaję zmianę kursu na północ. I po 15-tu minutach przekraczamy brzeg francuski . . . . za 7 angielski. Teraz tylko uwaga na własnych myśliwców . . . . . strzelają dobrze. . . .

Czy tylko wystarczy benzyny? Ale — musi! Musi wystarczyć! — powtarzałem z uporem maniaka. Musimy dociągnąć do własnego lotniska. Siadać na cudzym — wstyd; a do tego . . . łóżko . . . . własne łóżko — aż się cieplej zrobiło na samą myśl.

Znów zmiana kursu. Tym razem wprost już do bazy. Dystans maleje . . . ale benzyna też . . . . aby jeszcze 20 mil . . . .

Już rozmawiamy z bazą. Siadamy odrazu, bo . . . jedyna maszyna wracająca teraz — to nasza właśnie. Na nas czekają wszyscy. Godzina 03.55.

9 godzin . . . hm, to nie tak źle."

. . . .

Nocy tej lotnictwo brytyjskie straciło 37 maszyn z powodu gwałtownej zmiany warunków atmosferycznych.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

SPRAWA "DRUGIEGO FRONTU"

W poważnym tygodniku londyńskim "Observer" czytamy:

"Podczas gdy Lord Beaverbrook popierał sprawę drugiego frontu europejskiego w Nowym Yorku, generał Sikorski i generał Anders, Dowódca Polskich Wojsk w Rosji, podkreślali tę samą potrzebę w Londynie. Nie należy jednak przypuszczać, że brytyjscy i amerykańscy mężowie stanu i żołnierze są ślepi na korzyści narzucenia Hitlerowi wojny na dwu frontach w Europie. Lecz zarówno w polityce jak i wojnie jest często przepaść między pragnieniami a możliwościami. W tym wypadku nie chodzi o czołgi, samoloty lub żołnierzy, chodzi o okręty. Przerzucenie Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego w liczbie 120 tysięcy żołnierza do Francji, która była wtedy krajem sprzymierzonym z portami i kolejami do dyspozycji brytyjskiej, trwało od września 1939 do końca stycznia 1940. Jest to pewna miara tego, co by wymagało obecnie wysłanie Korpusu Ekspedycyjnego, który musiałby teraz być conajmniej sześć razy tak wielki. Nawet Lord Beaverbrook mógłby był zadowolić się pozostawieniem tak doniosłej decyzji Gabinetowi i Sztabom. Nie możemy sobie pozwolić jeszcze raz na Norwegie i Krety".

Widzimy z powyższego cytatu, że echa wystąpień prasowych osób, które mają inne drogi — poza prasą — do wpływania, projektowania i sugerowania, mogą być czasem nieoczekiwane. Najlepiej przestrzegać podziału pracy: publicyści niech piszą, politycy niech działają przez Gabinety, wojskowi przez Sztaby.

JAPONIA I STOLICA APOSTOLSKA

"The Times" zajmuje się w n-rze z 1 kwietnia sprawą nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych między Atolicą Apostolską a Japonią. Czołowy ten organ prasy brytyjskiej z dużą słusznością zauważa:

"W oczach świata to podjęcie stosunków dyplomatycznych nie pociągnie za sobą uznania zdobyczy, o które Japonia się kusi na Dalekim Wschodzie, a tym mniej jeszcze wyrazi jakąkolwiek absolucję z popełnionych występków. Wielkie zainteresowanie jednakże okazywane w Rzymie za ostatniego Pontyfikatu, wobec narodowego odrodzenia Chin, której to sprawie oddane jest zdecydowanie rodzima chińska rzymsko-katolicka hierarchia kościelna, — przyczyniło się do powszechnego odczucia pewnego obałamucenia. Wolne Chiny nie mają swego głosu w Rzymie. Zapewne, prawdą jest, że na chwilę obecną wielka liczba rzymskich katolików przeszła pod władzę Japończyków i że Kuria dała pierwszeństwo stronom dodatnim płynącym z kontaktu ze zdobywcą bez względu na niebezpieczeństwo, że państwa Osi zechcą wyzyskać to dla swoich własnych celów. Powszechnie się będzie uważać, że Stolica Apostolska decydując się na ryzyko tej ewentualności, wzięła na siebie nową odpowiedzialność wobec Świata Chrześcijańskiego. Japończycy popełnili nie dające się opowiedzieć (nameless) gwałty wobec jeńców wojennych. Rząd neutralnej Argentyny, działający w charakterze "mocarstwa opiekuńczego", spotkał się z odmówieniem mu środków spełnienia obowiązku nadzoru, którego się był podjął zgodnie z humanitarnymi postanowieniami prawa narodów. *Watykan będzie miał możność domagania się głosem wysokiego autorytetu, żeby ci którzy cieszą się utrzymywaniem stosunków ze Światem Chrześcijańskim dostosowali się do reguł zawartych w prawie narodów i w praktyce i uznawanych przez wszystkie narody cywilizowane niezależnie od wyznawanej religii*".

Od czasu ogłoszenia tego artykułu przez "The Times" zanotowały dzienniki, że podjęte zostały rozmowy co do reprezentacji niepodległych Chin przy Stolicy Apostolskiej, która wyraziła na to swoja zgodę.

Z polskich spraw przy Watykanie godzi się wymienić głosy Radia Watykańskiego, które zanotowało w jednej ze swoich polskich audycyj obecność Ambasadora R.P. Pappego na uroczystym nabożeństwie w dniu 17 marca w Kaplicy Sykstyńskiej z okazji jubileuszu koronacji Ojca Świętego oraz depeszę gratulacyjna Prezydenta R.P. Raczkiewicza, na którą jak wiadomo Ojciec Święty odpowiedział Prezydentowi depesza do Londynu. Notujemy tu także polską audycję watykańską z dn. 29 marca 1942 o miłosierdziu Bożym z cytatem z Sienkiewicza: "Niechaj każdy z waszmościów sobie raz na zawsze zanotuje, że dla Pana Boga niemasz nic niemożliwego". Audycja przepowiadała lepsze czasy dla cierpiącego od przeszło dwu lat narodu polskiego.

GENERAŁ CZY POLITYK?

Truth jest zaniepokojona ostatnim przemówieniem generała de Gaulle'a i zaznacza:

"Wszyscy podziwiali dystyngowaną prezencję generała i jego wojskowe zachowanie się: mowę swą napisał starannie i wyuczył się jej na pamięć. Ale dlaczego, pytali słuchacze, dlaczego w przemówieniu przeznaczonym głównie dla Anglików nie wyraził ani jednym słowem uznania dla brytyjskiego wysiłku, a nawet wdzięczności dla brytyjskiej wcale wydatnej pomocy, która sztab i siły generała de Gaulle'a uzyskują? Generał żądał dalszego, wydatniejszego uznania Wolnej Francji przez leaderów demokracyj i sugerował pewien "snobizm" u rządu brytyjskiego i amerykańskiego, wynikający z tego, że w Wolnej Francji niemasz "zgranych polityków, śpiących akademików, intrygantów businessmenów, ni generałów wyniszczonych awansami . . . ."

"Nawet najzacietsi frankofile pytają, dlaczego generał nie szuka porady? Takie mowy nie pomagają ani jemu ani jego stanowisku. W interesie przyszłości swego kraju generał zrobiłby lepiej, gdyby poświęcił się sprawom wojska, a nie zajmował się mowami politycznymi."

Wynikać się z tego zdaje jasno, że specjalnie na krytykę narażają się oratorowie o szarży generalskiej. Niektórzy z nich zbierają czasem nagany, inni pochwały. W każdym jednak razie mowy takie wymagać się zdają rzadkiego przygotowania, t. zn. przygotowania i rzadkości.

POROZUMIENIE POLSKO-SOWIECKIE

Major Victor Cazalet, M.C., M.P., który towarzyszył generałowi Sikorskiemu w podróży do Rosji, podaje na łamach *World Review* nieznane szczegóły, poprzedzające podpisanie polsko-sowieckiej deklaracji w grudniu ub.r.:

"Stalin wydał po rozmowie z Sikorskim obiad na jego cześć, w czasie którego Sikorski naliczył trzydzieści i pięć różnych dań na menu. Po dwu godzinach Stalin zauważył, że Sikorski już nie je, wobec czego odwołał resztę obiadu i wziął swego gościa do kina. O północy zabrał go do swego pokoju i podpisał polsko-sowieckie porozumienie".

(Dla pamięci podajemy tę historyczną wersję w jej autentycznym tekście angielskim: "Stalin gave a dinner for Sikorski after their talk, at which Sikorski counted thirty-five different items on the menu. After it had been going on for about two hours Stalin saw that Sikorski was eating nothing more, so he countermanded the rest of the dinner and took him off to see a cinema. At midnight he took him up to his room and signed the Polish-Soviet Agreement.")

"ZDROWE GRANICE"

W jednym z marcowych numerów "The Economist" zaniepokojono się bardzo nieprzyjaznymi komentarzami do układu czesko-polskiego ze strony — moskiewskiego radia. Bardzo rozumnie autor artykułu czuł się zmuszony do rzucenia tego zadziwiającego komentarza na tło całej rosyjskiej strategii dyplomatyczno-wojskowej:

"Jest wyraźna tendencja ze strony Sowietów do patrzenia na nabytki z lat 1939–1940 jako na konieczne dla przyszłego wojskowego bezpieczeństwa. Sir Stafford Cripps nawiązywał w swej mowie brystolskiej do owych pragnień rosyjskich, by "zachować zdrowe granice strategiczne." Równocześnie Radio Sowieckie w polskim języku zamieściło znaczącą nieprzyjazne komentarze do polsko-czeskiego układu federacyjnego. Wydaje się, że istnieje w Moskwie tendencja do nieco sztywnej interpretacji "granic strategicznie zdrowych." Można się zapytać, która w ogóle lądowa granica jest strategicznie "zdrowa" w erze walk pancernych i lotniczych? Może się przecież zdarzyć, że nawet z rosyjskiego punktu widzenia współpraca ze sfederowanymi małymi sąsiadami, nie żywiącymi niechęci do Rosji, mogłaby mieć większą wojskową wartość, aniżeli "zdrowe" granice strategiczne z obrażonymi uczuciami narodowymi i świeżym poczuciem krzywdy wzdłuż nich."

REALIZM SIKORSKIEGO

Na łamach prasy brytyjskiej daje się zauważyć dość nieoczekiwane zjawisko dopingowania rządu brytyjskiego — polskim realizmem. Jeśli Rząd Jego Królewskiej Mości nie wykazuje, w oczach pewnych sfer, dostatecznego pośpiechu w kierunku realizacji wszelkich postulatów sowieckiego alianta — przyciska się go do muru wskazywaniem na pełną realizmu postawę rządu polskiego.

Fakt ten zanotować już można było dwukrotnie.

"New Statesman" z dn. 14 marca z okazji znanego "rozkazu dziennego" Stalina notował: "Jest przeżytkiem minionych dni, zakładającym poczucie światowego wpływu, czego fakty nie usprawiedliwiają, — jeśli Anglia i Ameryka głoszą swe prawo do decydowania o przyszłości pogranicznych terytoriów Unii Sowieckiej. *Sikorski był większym realistą.* (Sikorski was more realistic.")

Aczkolwiek mamy duże pojęcie o "realizmie" generała Sikorskiego, nie sądzimy, by zasługiwał na powyższy komplement, by więc swój "realizm" posuwał aż tak daleko.

Ostatnio znów *Tribune* z 10 kwietnia, w artykule "Brytyjskie wykręty bałtyckie" (Britain's Baltic Quibble) używa znów podobnego chwytu, znów w odniesieniu, jak widać z samego już tytułu, do krajów bałtyckich. Presja na rząd brytyjski jest tu bardziej jeszcze energiczna, bo niezmiernie uproszczona. Trudności mianowicie sprowadzają się już tylko do — brytyjskiej zgody na coś, na co się już wszyscy inni zgodzili (?). "Rosjanie, *osiągnąwszy już odpowiedni układ z Polakami*, żądają brytyjskiego uznania dla terytoriów, które już posiadali w momencie hitlerowskiego ataku. Rosja uważa je za nieodzowne dla swego bezpieczeństwa."

Innymi słowy— znów realizm rządu Sikorskiego. I znów wyrażamy przekonanie, że podsuwa się pod układ polsko-rosyjski rzeczy, których tam — expressis verbis — niema: idzie tu wszakże o Litwę, a może nie tylko o Litwę!

Ale wniosek wyciągnąć musimy jeden: nie dobrze jest i nie politycznie jeśli się daje asumpt do takich przypuszczeń i takich . . . komplementów.

Stanowisko zaś pewnych odłamów prasy angielskiej jest rozbrajające: naczelną sprawą jest bezpieczeństwo rosyjskie.

A bezpieczeństwo polskie? pytamy.

CO PROPAGUJĄ NIEMIECCY EMIGRANCI

Zanatować należy wystąpienie niemieckiego pisma w W. Brytanii, londyńskiego tygodnika "Die Zeitung", w sprawie dotyczącej wschodnich granic Polski. W numerze "Die Zeitung" z 27 marca 1942 ukazał się artykuł wstępny p.t. "Polityka rosyjska". Autor artykułu tłumaczy, że na szczęście nie ma sprzeczności między Chartą Atlantycką a Rozkazem Nr. 55 Stalina, wydanym przy końcu lutego 1942 z okazji rocznicy utworzenia Czerwonej Armii. Charta Atlantykca jest wyrazem poglądów świata anglosaskiego, walczącego o odbicie Europy z powrotem dla cywilizacji zachodniej. Rozkaz Nr. 55 świadczy, że Sowiety walczą tylko o możność rozwijania cywilizacji sowieckiej na terytoriach rosyjskich. W rozkazie Stalin oświadczył, że Czerwona Armia walczy o wyrzucenie wroga z sowieckich ziem, przy czym dał niedwuznacznie do zrozumienia, iż pojęciem "ziem sowieckich" obejmuje również wszystko, co zostało do Sowietów wcielone w latach 1939-1940. Gdyby zaś ktoś jeszcze wątpił, czy naprawdę Sowiety nie dążą do rewolucji światowej i do ogarnięcia pod swoje bezpośrednie wpływy przynajmniej Europy, tego zapewnia "Die Zeitung", że przecież walka Stalina z Trockim i trockizmem najlepiej świadczy o intencjach obecnego sowieckiego kierownictwa politycznego.

Następuje niedwuznaczne zakończenie artykułu:

"Polityka Stalina otwiera drogę do pokojowego istnienia obok siebie obu różniących się w swoich skalach wartości cywilizacyj oraz do owocnej współpracy ich potęg głównych. Jedno tylko zagadnienie musi być rozwiązane: zagadnienie granic.

"Dla Trockiego granice były prawdopodobnie czymś ubocznym. W jego koncepcji świata występowały one w zagadnieniu administracji prowincjonalnej. Dla Stalina zagadnienie granic ma znaczenie życiowe. Państwo sowieckie zamknięte w sobie i świadomie respektujące inność Zachodu, potrzebuje granicy zachodniej, któraby chroniła jego ośrodki administracji i produkcji. Leningrad i Moskwa zostały utrzymane w 1941 roku, ponieważ wojska obrony mogły wymaszerować z rejonów Kowna i Białego Stoku. Stolice te byłyby trudne do utrzymania, gdyby wojska obrony miały zaczynać walkę pod Nowogrodem i Smoleńskiem. Stąd domaganie się Stalina granicy z 1940 roku".

Nie będziemy polemizować z głosem niemieckim w sprawie naszych granic wschodnich. Notujemy tylko, że emigranci niemieccy chętnie by widzieli polski Białystok i litewskie Kowno wcielone do Związku Sowieckiego. Ten głos niemiecki nadaje charakterystycznego zabarwienia owemu tęczowemu wachlarzowi zwolenników stalinowskiej koncepcji urządzenia Wschodniej Europy. I zaznaczymy: przesłanki wnioskowania "Die Zeitung" są najzupełniej fałszywe, a wnioski i fałszywe i pełne wrogości ku Polsce. Niestety, z polskiej strony oficjalnej nic nie zrobiono, by podważyć w opinii międzynarodowej nie tylko same wnioski, *lecz i założenia takiego rozumowania. Tu leży jeden z najcięższych błędów polskiej polityki oficjalnej.*

POLONIA AMERYKAŃSKA W OBRONIE POLSKI

Polonia amerykańska z troską zauważyła trudności, w których ostatnio znalazła się sprawa Polski. Organ polski największego amerykańskiego ośrodka ciężkiego i najcięższego przemysłu "Pitsburczanin", omawia w artykule wstępnym z dn. 20 marca 1942 ostatnie wydarzenia i rozmowy dyplomatyczne dotyczące Polski. Najważniejsza część artykułu brzmi

"Kwestia to dla Polski i dla Narodu Polskiego niesłychanej wagi. Jest ona również niezmiernie doniosła dla krajów walczących po stronie obozu demokratycznego, gdyż uznanie stanowiska Rosji przekreśliłoby ideały, o które obóz ten toczy walkę i postawiłoby demokracje, walczące o wolność narodów, w jednym prawie obozie z państwami totalnymi.

"Rola Rosji i jej doniosłość w walce z Hitlerem, zmusza sfery angielskie do ostrożnego bardzo podchodzenia do zagadnienia. Niemniej jednak zmusza to rząd polski i całe społeczeństwo polskie do rozwinięcia jak największej czujności, gdyż zarysowuje się obecnie bardzo poważne niebezpieczeństwo dla interesów narodowych Polski. Trzeba nam dołożyć wszelkich starań, aby opinia miarodajnych sfer amerykańskich, które będą miały bardzo poważny wpływ na kształtowanie spraw Europy powojennej, była należycie poinformowana. Musimy zdobyć pełne poparcie tej największej demokracji świata, aby zapewnić Polsce uzyskanie pełnego zadośćuczynienia za jej poświęcenie i cierpienia, poniesione w walce o wolność narodów."

W innym polskim tygodniku ("Myśl Polska" nie zajmuje się śledzeniem amerykańskiej prasy codziennej w polskim języku) — "Czas", wychodzący w Brooklyn, N.Y.—czytamy bardzo rzeczowy i poważny artykuł omawiający wystąpienie Sir Stafforda Crippsa w amerykańskim *Life* . Z artykułu tego wyjmujemy taki istotny ustęp:

"Dla każdego z Polaków już sama myśl o odstąpieniu choćby kawałka ziem polskich, byłaby zbrodnią. Tak myślą i czują wszyscy Polacy, w kraju i rozrzuceni po całym świecie, tak myśli i czuje Polonia amerykańska.

"Gdyby więc Rosja próbowała inaczej rozumieć umowę, lub gdyby dążyła do zagarnięcia części ziem polskich, wówczas musi się liczyć z protestem milionów Polaków, wszędzie gdzie oni się znajdują. Podniesie wówczas głos kilkumilionowa rzesza Polaków amerykańskich, którzy jako wzorowi i lojalni obywatele Stanów Zjednoczonych, nie mogą jednak być obojętni wobec Polski i jej dobra."

DEMOSTENES I DUCH OFENZYWY

Scrutator przypomina w swej kronice tygodniowej w *Sunday Times*, jak to w istocie swojej zasady strategiczne są wiecznie te same, o ile idzie o ich podstawę energetyczno-moralna. Dużo się dziś mówi o potrzebie przejścia z defenzywy do ofenzywy i odpowiednim wewnętrznym nastawieniu się i przestawieniu. Ten sam problem stał przed oczyma Demostenesa, gdy wołał do swych braci Ateńczyków, znajdujących się w śmiertelnej potrzebie:

"Jest to właśnie ta sama sprawa, mówił, co z zachowaniem się nieumiejętnego zapaśnika. Nie myśli on wcale o uderzeniu przeciwnika, a tylko o sparowaniu razów, i to po ich otrzymaniu. Gdziekolwiek go uderzono, tam idą jego ręce." Właśnie tak, konkluduje Scrutator: "w stronę Hongkongu, Filipin, Malajskiego Półwyspu, Singaporu, Jawy, Burmy, Nowej Gwinei, Cejlonu. A tylko nie w stronę Japonii!"

Lepszy jednak od filipik jest opór na Filipinach. No, i raz wreszcie dostała Japonia.

MNICH-ADMIRAŁ

Spectator zwraca słusznie uwagę na zadziwiającą karierę świeżo mianowanego Wysokiego Komisarza Wolnych Francuzów na Pacyfiku, kontr-admirała Georges Thierry d'Argenlieu. Przebywszy całą pierwszą wojnę, t. zw. Wielką, na łodziach podwodnych, po jej ukończeniu (miał stopień lieutenant-commandera) wstąpił, idąc za nieprzepartą siłą powołania, do Zakonu Karmelitów Bosych, gdzie jako Louis de la Trinité, u progu wojny obecnej, stał się prowincjałem prowincji paryskiej. Oddawał się z upodobaniem studiowaniu wielkiego mistyka, św. Jana od Krzyża.

Z wybuchem wojny, w wrześniu 1939, wraca do służby czynnej w wojsku. Wzięty do niewoli w Cherbourgu, ucieka z konwoju, wraca do francuskiego wybrzeża w przebraniu wieśniaka i przedostaje się do Anglii. Pewien czas służy w szeregach France Libre jako kapelan, ale w Dakarze widzimy go walczącego znów i odznaczającego się w walce. Służy w Zachodniej Afryce. Obecnie mianowany kontr-admirałem na Pacyfiku.

Spectator wykazuje niezrozumienie psychologii — i dyscypliny — katolickiej, kiedy pyta: "Co nastąpi po wojnie"? Oczywiście, O. Louis de la Trinité wróci do zakonu.

Dwu braci admirała Thierry d'Argenlieu jest w Zakonie Dominikańskim, dwie siostry w klasztorze Pań Sjonu.

Dobrze będzie, jeśli rozpamiętywując nieraz z goryczą krzywdę, jaką Francja sobie i nam wyrządziła, będziemy mieli w pamięci i takie przykłady bohaterstwa, jednoczącego służbę żołnierza i mnicha.

DLACZEGO TRZY?

W przemowieniu wygłoszonym przez radio do swych rodaków prezydent Benesz wyliczył — słusznie — szereg niemieckich pomyłek, widząc w nich zapowiedź ich klęski. Do pomyłek tych należy oczywiście atak na Rosję. "W Rosji doznali jednej z najcięższych katastrof wojskowych, jaką świat zna. W dodatku zaś zwarli ze sobą ostatecznie trzy demokracje światowe."

Słyszymy zawsze o czterech demokracjach: Anglii, Chinach, Rosji i Stanach Zjednoczonych. Jedną z nich prezydent Benesz wypuścił tu z rachuby. Którą?

Sądzimy, że nie szło mu tu ani o Anglię ani o Chiny ani o Stany. Ale, wyznajemy, nie jesteśmy pewni naszego przypuszczenia.

KOBIETA NIEMIECKA

The Fortnightly zamieszcza artykuł poświęcony kobiecie w narodowym socjaliźmie. Autor wychodzi z założeń opartych na trzeźwej obserwacji i rozumieniu tego, co się w narodzie niemieckim dzieje:

"Fanatyczna wiara kobiety niemieckiej w Hitlera i jego misję musi być zachwiana u samej podstawy. Jak tego można dokonać? Trzeba tej kobiecie pokazać, że Hitler nie jest nieomylny, że nie jest nadczłowiekiem, za jakiego go uważają. Propaganda B.B.C.? Za mało. Bombardowanie miast niemieckich? Berlina? Nie dosyć. Kobieta niemiecka musi otrzymać bezpośrednią lekcję obiektywną terroru wojny totalnej w postaci, w jakiej Fuehrer rozpętał ją nad światem. Jeszcze nie słyszały te kobiety warkotu ciężkich czołgów. Jeszcze nie widziały płonących swych domów i ograbionych siedzib. Jeszcze nie było ich losem uciekać w panice ku nędzy, jak to było udziałem kobiet w krajach najechanych przez niemieckich żołnierzy. Jeszcze nie oglądały szubienic po niemieckich miastach."

Taką jest prawda wojny totalnej. Może istotnie Niemcy nie zostaną powalone, póki kobieta niemiecka nie stanie się z kolei ofiarą tej wojny totalnej. Może wtedy dopiero zdoła na świat wydać dzieci zdolne do przejścia owego okresu wychowawczego, o którym stale mówi Lord Vansittart.

WSPOMNIENIA NA CZASIE

Harold Nicolson w jednym ze swych ostatnich felietonów w "Spectatorze" — te Marginal Comment należą do najlepszych rzeczy, jakimi może się poszczycić angielska prasa tygodniowa — wraca myślą do miesięcy Konferencji Wersalskiej, w czasie której był młodym pracownikiem delegacji angielskiej. Przez tych lat dwadzieścia parę, które minęły od tego czasu miał p. Harold Nicolson sporo czasu do przemyślenia ówczesnych błędów. Nie chciałby, by się miały znów po tej wojnie powtórzyć.

A jednak autor jest niezmiernie daleki od oczerniania ludzi i dzieła Traktatu Wersalskiego. Ludzie byli i oświeceni i ideowi. "Nie należy się spodziewać by ludzie przyszłej konferencji pokojowej byli czyto inteligentniejsi czyto moralnie wyżsi od tamtych swych poprzedników."

Cóż więc szwankowało?

Nie było jedności celu ni zamierzenia. Foch — wielki realista — chciał fizycznych gwarancji przeciw nowej agresji niemieckiej, zaś Wilson — zwycięski idealista, by nie rzec iluzjonista — chciał "oprzeć pokój na rozumie i cnocie zwykłego człowieka." Innymi słowy, na nieszczęście Europy i świata, zwyciężyła na konferencji wersalskiej wiara w zasadniczą dobroć natury ludzkiej. Stary pelagianizm i nowy russoizm zjawiają się u kolebki młodego a zwycięskiego wieku dwudziestego . . .

Płacimy dziś zato rachunek w postaci nowej, straszliwej wojny światowej. Zaś wiecznie żywa iluzja zwęziła się do problemu "dobrych Niemców."

Cały ten splot zatargów między ogólnoludzką ideologią a narodową rzeczywistością odżywa w plastycznej pamięci Harolda Nicolsona w następującym obrazie:

"Przypominam sobie z konsternacją scenę, jaka miała miejsce na posiedzeniu Konferencji, na której po raz pierwszy zakomunikowano oficjalnie mniejszym Aliantom warunki pokojowe przed ich wręczeniem Niemcom. Jeden po drugim przedstawiciele mniejszych mocarstw zrywali się z krzeseł i protestowali przeciw wyznaczonym granicom. Paderewski wstał, tragiczny i lwi, i oświadczył, że naród polski będzie pogrążony w żałobie, dowiedziawszy się o układzie narzuconym mu przez głównych jego sprzymierzeńców (by the settlement imposed upon them by their principal allies). Pasicz, z trzęsącą się brodą wątpił, by mógł wogóle wrócić do Belgradu z takimi warunkami. Clemenceau słuchał tych protestów z źle ukrywaną wściekłością, gniotąc w swej zawsze rękawiczką pokrytej ręce, coupe-papier z kości słoniowej. Wreszcie, gdy Bratiano imieniem Rumunii począł skarżyć się na krzywdę Rumunii, nagle cierpliwość tygrysa się załamała. "Niech Pan zamilknie, Monsieur Bratiano, proszę by Pan zajął miejsce."

"Siedzieliśmy wszyscy zdjęci trwogą i nieszczęśliwi. Wtedy właśnie powstał Prezydent Wilson i wyjaśnił nam, że pokój nie był wcale kwestią granic i sprawą Rządów, ale że był odwiecznym dziedzictwem zwykłego człowieka. Burza ustąpiła i spodziewaliśmy się szybkiego końca posiedzenia. Była to jednak chwila, którą wybrał Marszałek Foch dla określenia klauzul wojskowych. Oświadczył, że Traktat nie dawał ani Francji, ani Europie *owego fizycznego bezpieczeństwa*, które winno być podstawą pokoju. Oświadczył, że żadne papierowe klauzule nie zdołają utrzymać Niemiec w rozbrojeniu na dłużej niż lat parę. Oświadczył wreszcie, że jedyną gwarancją, która by zabezpieczyła pokój dla naszych wnuków, jest utrzymanie przez Francję linii Renu. "Rzeka ta, kończył, załatwi wszystko."

"Clemenceau odrazu przerwał posiedzenie, i w przedpokoju napadł z wściekłością na Focha. "Czemu Marszałek w takiej chwili, najnieodpowiedniejszej, wszczął tę sprawę?" Foch wyprostował się, pokręcił wąsa i rzekł krótko: "Chciałem uspokoić moje sumienie. . ."

Zaiste scena symboliczna. Nie powinna nam zejść z pamięci. Dziś po latach dwudziestu mamy chyba wszyscy przekonanie, że sumienie Focha nie zawiodło.

ZNAMIENNY ATAK

Londyńska "*Jewish Chronicle*" zamieściła w n-rze z 17 kwietnia notatkę pod tytułem "Polscy antysemici". Oto tłumaczenie:

"Miarodajni rzecznicy polscy wyjaśnili mi (pisze przedstawiciel *Jewish Chronicle*), iż antysemickie tendencje nowoutworzonego "Komitetu Zagranicznego Obozu Narodowego" odtwarzają poglądy bardzo małego tylko ułamka Polaków w Wielkiej Brytanii i w Polsce. "Reżim Sikorskiego — powiedziano mi — przeciwstawia się zdecydowanie antysemityzmowi wszelkiego rodzaju, czyby on pochodził od tej grupy czy od jakiejkolwiek innej, postawa tego reżimu wobec Żydów została niedwuznacznie określona (proclaimed) w deklaracji Rządu. Ta polityka jest polityką istotnie demokratyczną."

"Kiedy zapytałem, czy by Rząd polski nie mógł zawiesić (suppress) antysemickiej *Myśli Polskiej*, odpowiedziano mi, iż Rząd polski nie ma władzy w tym względzie, i że takie zawieszenie jest rzeczą Rządu brytyjskiego.

"Mała grupa, która związana jest z *Myślą Polską*, składa się z owych niewielu członków Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, którzy są nieprzyjaźni wobec rządu Sikorskiego, i z dwu półfaszystowskich grup polskich, które działały w przedwojennej Polsce — Narodowych Radykałów i Falangi.

"Twierdzi się, że Falanga współpracowała z osławionym (notorious) *Jestem Polakiem*, które się już nie ukazuje. Inna gazeta, *Walka*, która zaleca antysemityzm oraz "silny rząd młodszej generacji Polaków," wysyłana jest z sekretnego adresu i rozpowszechniana szeroko w Londynie i wśród polskich wojsk, wśród których, jak się opowiada, ma szeroki obieg. Obiegają pogłoski, iż finansowo podtrzymują *Walkę* osoby wysoko postawione."

Notujemy skrzętnie ten osobliwy atak *Jewish Chronicle*. Gdyby jakikolwiek "miarodajny rzecznik polski" wyraził się naprawdę o *Myśli Polskiej* w sposób przypisywany mu przez *Jewish Chronicle*, musielibyśmy uznać, że nie jest to żaden rzecznik, lecz *agent provocateur*. Nie wątpimy zresztą, że kompetentne czynniki polskie odetną się stanowczo od podobnych metod i insynuacyj.

Znamienne jest, że tego rodzaju chwyt ze strony *Jewish Chronicle* zbiega się w czasie z akcją *Myśli Polskiej* w obronie uzasadnionych praw i interesów Polski w Europie. Jeżeli się zważy, że *Jewish Chronicle* ani słówkiem nie poparła dotąd stanowiska Rządu polskiego w obronie integralności polskiego terytorium państwowego, to synchronizacja ta staje się niezwykle wymowna. Oto do czego prowadzi polityka nieoparta na wzajemności świadczeń, lecz jednostronnie pokorna i uniżona. *Jewish Chronicle* źle zasługuje się koncepcjom reprezentowanym tak gorliwie w Rządzie polskim przez generała Sikorskiego i p. Stańczyka.

Co się zaś tyczy metod sugerowanych Rządowi brytyjskiemu wobec *Myśli Polskiej*, to wystarczy nam przeświadczenie, że pod tym względem *Jewish Chronicle* nie wyraża opinii angielskiej.

REWIZJONIŚCI

W londyńskim organie syjonistów-rewizjonistów uwagę naszą zwróciły dwa tematy. Jeden z nich to sprawa projektów utworzenia oddziałów czysto żydowskich przy Wojsku Polskim w Sowietach w 1941 roku. Dowiadujemy się stąd, że rewizjoniści proponowali wtedy utworzenie Legionu Żydowskiego złożonego z Żydów obywateli polskich i związanego z całością sił polskich w Sowietach. Następnie Legion ten miałby był objąć również litewskich, łotewskich, rumuńskich, bułgarskich i innych uchodźców żydowskich na terenie Sowietów. Projektowi temu sprzeciwili sie jednak nie tylko Żydzi z ugrupowań niesyjonistycznych, lecz i syjoniści ze starej organizacji syjonistycznej, — uważając, że Żydzi z Polski powinni wstępować wprost do Wojska Polskiego.

Rewizjoniści uważają, że stara organizacja syjonistyczna dlatego sprzeciwiła się tym projektom, iż mogłyby one były oznaczać rezygnację z nadziei i aspiracyj związanych z urządzeniem powojennym Europy, jako wyraz dążeń ewakuacji Żydów do Palestyny.

Obecnie jednak, kończy Jewish Standard, kiedy oddziały polskie z Sowietów pod własnymi sztandarami i przy dźwiękach własnych orkiestr wmaszerują na ulice Jerusalem, "niech pamiętają syjoniści, że gdyby ich przywódcy działali mądrze i śmiało, wśród tych wojsk maszerowałby również Legion Żydowski. I nie obawialibyśmy się byli, my członkowie Nowej Organizacji Syjonistycznej oraz inni syjoniści polityczni, uważać ten Legion za prekursora większej armii — Armii Ewakuacji."

W tym samym n-rze (z 17 kwietnia) *Jewish Standard* znajdujemy sprawozdanie z zebrania publicznego żydowskiego w Londynie, odbytego z inicjatywy polskiej grupy Nowej Organizacji Syjonistycznej. Najbardziej wybijało się tam — sądząc ze sprawozdania — przemówienie p. A. Abrahamsa, kierownika Wydziału Politycznego N.O.S.

"Przypomniał on — czytamy — że Nowa Organizacja Syjonistyczna liczyła w Polsce ponad 500 tysięcy członków. Oświadczył on, że była to jedyna partia polityczna w Polsce, wyznająca politykę ujmowania przyszłości żydostwa polskiego łącznie z zagadnieniem państwa żydowskiego w Palestynie, a nie jako sprawę zakorzenienia się na zawsze w Polsce. N.O.S. przewidziała to, co stało się później, i usiłowała wprawić Wschodnią Europę w stan poruszenia przed wojną, -spodziewając się, że przez wytworzenie psychologii ruchu i uchodźctwa ku Palestynie przez tak zwaną imigrację nielegalną, międzynarodowe czynniki polityczne przyciągnięte by były do współpracy. Na nieszczęście wysiłkowi temu stanęli na przeszkodzie liczni samozwańczy przywódcy żydowscy i niektórzy z nich teraz muszą być uważani za odpowiedzialnych za cierpienia i śmierć dziesiątków tysięcy Żydów, którzy byliby uszli, gdyby nie byli znajdowali się pod wpływem swoich żydowskich mentorów politycznych. Niektórzy z tych mentorów, a szczególnie ci, których Rząd polski zamianował przedstawicielami w Polskiej Radzie Narodowej, jeszcze mają czelność twierdzenia, że przemawiają w imieniu polskiego żydostwa. Pretensjom tym należy się przeciwstawiać we wszelki możliwy sposób. Jest obowiązkiem grupy polskiej w N.O.S. podnieść głos i zaczepić (dispute) oświadczenia tych tak zwanych przywódców polskich grup żydostwa."

Zebranie uchwaliło rezolucję popierającą politykę delegacji N.O.S. w Radzie Polskich Żydów oraz domagającą się nacisku na ową Radę w kierunku przyjęcia przez nią polityki ewakuacji.

Z kroniki żałobnej

SŁOWA NA GRÓB

Podporucznik-pilot Witold Małkiewicz lat 23, zginął śmiercią lotnika 17 kwietnia 1942 roku.

Byłeś młodym chłopcem, dobrym, uczciwym, obowiązkowym, o dużym wyrobieniu etycznym, o patriotyzmie, który słów ani haseł nie potrzebuje.

Pochodziłeś z mocnej rasy ludzi ziemi; urodziłeś się w krainie jezior, gdzie z klasztoru skępskiego cudowna statua Matki Boskiej króluje Ziemi Dobrzyńskiej. Twój dziadek zginął w więzieniu zamordowany przez Niemców. Ty zginąłeś w powietrzu, na samolocie, podczas drugiej Wojny Światowej z Niemcami.

Byłeś moim siostrzeńcem, a przecież należeliśmy do tego samego pokolenia, dla którego wolność stała się nareszcie chlebem powszednim. Nie rozumieli nas ani nasi ojcowie, ani starsi bracia.

Odeszłeś młodym w wieczność — wieczność się nigdy nie starzeje — widzisz już Polskę ogromną latami przyszłymi, wielką mającymi się spełnić czynami.

Twoja ofiara na szali moralnej już waży — przechyla nas, niegodnych jeszcze śmierci, ku nowej Polsce . . .

Pamiętam, jak mi mówiłeś ostatni raz w Londynie: — Wiesz, śniło mi się że wylądowałem w Skępem, widziałem dom rodziców . . . Byłem pierwszy, przed innymi . . .

Tak, jesteś pierwszy — przed innymi, młody, dobry, chłopcze.

Kiedy koledzy-lotnicy salutowali Twoją trumnę, samolot krążył nad cmentarzem — pieśń śmigieł usypiała Cię na wieczność, na szczęście.

Wstydzę się swoich łez — Ty nie lubiłeś przecież, gdy się kto nad Tobą rozczulał.

Zawiozę Twój mundur do Polski, oddam matce; różaniec, który po Tobie pozostał, powiesimy jako wotum przed cudowną Matką Boską Skępską. Teraz Ci bliżej Jej niebiańskiego uśmiechu . . . Paciorki różańcowe jaśnieją. Widno Ci od nich na nowych różańcowych drogach.

Witku, będziesz dumą swojej wsi, swojego gimnazjum, całej Ziemi Dobrzyńskiej. W naszej rodzinie pozostaniesz legendą.

Z lotnisk Wielkiej Brytanii startują co dzień, co noc, polskie samoloty. Polskie oczy przeglądają się w widnokręgach. Z chmur bliżej do Polski, bliżej do Nieba.

Razem z Witoldem Małkiewiczem zginął sierżant podchorąży T. Siemieńczuk, jeden z tych samotnych polskich lotników, niemających nikogo z bliskich w Anglii — oprócz Rodaków, którzy za nich odmówią czasem modlitwę.

Za duszę ś.p. W. Małkiewicza i T. Siemieńczuka zmówcie "Zdrowaś Marya".

Jerzy Pietrkiewicz.

Z Wydawnictw

SHALL OUR CHILDREN LIVE OR DIE?

A reply to Lord Vansittart on the German Problem by Victor Gollancz.

nakładem Victor Gollancz, Limited, stron 68. *cena* 2/6 *net.*

Powyższej broszurze należy się przedewszystkiem należyta klasyfikacja publicystyczna i społeczna. Posiada ona wszelkie pozory odważnego i bezkompromisowego czynu politycznego, ale należy ją raczej traktować jako przyczynek do mentalności, tendencji i niebezpiecznych złudzeń pewnych kół tego wszystkiego, co nałogowo — w ślad za XIX wiekiem nazywamy społeczną lewicą, a w danym wypadku lewicą angielską.

Autor, stwarzając sobie krzyczącym tytułem i ostrością postawy pozory rewolucyjności i niezależności, jest w istocie rzeczy upartym, nałogowym doktrynerem, którego nie stać na swobodę myśli i własne podejście do omawianych problemów.

Pozorną treścią pamfletu jest odpowiedź Lordowi Vansittartowi i propagowanym przez niego tezom historiozoficznym w ocenie zagadnienia Niemiec, w rzeczywistości — Gollancz nie polemizuje z nasuwającymi się w historycznem myśleniu koniecznościami, a poprostu daje upust ciążącym obsesjom i schematom myślowym.

Byłoby błędem nie doceniać tej postawy, tak przecie — bądźmy szczerzy — charakterystycznej dla specyficznej atmosfery różnych odcieni i odprysków angielskiej lewicy. Sekciarskim antyvansittartyzmem Gollancza, jego kamieniem filozoficznym i patentowanym lekarstwem na wszelkie polityczne choroby nie tylko Europy, ale nawet i całej kuli ziemskiej, jest oczywiście Paneurazja, zsocjalizowana, ale o bliżej niesprecyzowanym ośrodku dyspozycyjnym.

"Les extremes se touchent," i naczelny ideał Gollancza jest o wiele bliższy *koncepcji Hitlera* niżby to się na pozór wydawało.

Punkt ciężkości przeżywanego obecnie okresu tkwi w fakcie, że "Niemcy pracują za dużo i za dobrze," więc proponowana przez Gollancza Paneurazja byłaby tylko kolosalnym "miejscem pod słońcem" i rynkiem zbytu dla produktów i ideałów następców Hitlera, którzyby realizowali jego koncepcje przy użyciu innych metod i innego trybu postępowania.

Te złudzenia, to produkty nie tylko sekciarskiego nastawienia autora, ale są to również typowe złudzenia Brytyjczyków, wychowanych od wielu pokoleń w atmosferze wolności, dobrze zrozumianej demokracji i "fair play."

Z pamfletu przezierają i inne jeszcze, może nawet niebezpieczniejsze złudzenia, — i bądźmy szczerzy, — złudzenia właściwe nie tylko Gollanczowi i jego środowisku.

Linją generalną Gollancza na dziś i na jutro, jest zsocjalizowana — rozciągająca się od Lizbony do Władywostoku Paneurazja, z państwowym kapitalizmem i upaństwiowionymi warsztatami produkcji.

Taki moloch statystyczny, którego rząd będzie posiadać i normalną w naszym pojęciu władzę polityczną i administracyjną, ma według Gollancza być jednocześnie krajem wolności i poszanowania praw jednostki.

Jesteśmy gotowi uwierzyć, że zsocjalizowana Wielka Brytanja, — dzięki jej podkładowi historycznemu i kulturalnemu — mogłaby rzeczywiście być krajem poszanowania praw jednostki i krajem wolności. I jesteśmy gotowi uwierzyć, że są to szczere przekonania angielskiej lewicy.

Ale analogiczne deklaracje kontynentalnego socjalizmu są niczym innem jak koniunkturalnymi sloganami. Kontynentalne doświadczenia z omnipotencją państwa sprowadzają się zawsze do antydemokratycznego totalizmu, przybierającego w zależności od szerokości geograficznej i tradycji historycznej nazwę i formę lenino — stalinizmu, faszyzmu, hitleryzmu, kemalizmu, sanacji moralnej, itd.

Polskiego czytelnika pamfletu Gollancza zainteresuje niewątpliwie str. 119 z informacjami o niedoszłym do skutku transporcie amunicji z Wielkiej Brytanji do Polski w maju 1920 r.

Stworzywszy sobie pozory niezależności i nieprzejednania antykapitalistycznego publikacją mało znanych szerszej publiczności machinacji międzynarodowego przemysłu zbrojeniowego, Gollancz wykazuje zupełną bezradność w sugerowaniu sposobów rozwiązania zagadnień przyszłej Europy.

Proponowane lekarstwa, — głównie pomoc Wielkiej Brytanji dla rewolucji społecznej w Niemczech, mogą conajwyżej rozrzewnić i zasmucić kontynentalnego czytelnika. Wszyscy pamiętamy wspaniałą przysługę jaką niemiecka socjal-demokracja oddała w roku 1918 narodowi niemieckiemu, lekko pozbywając się kilku tuzinów domów i domków panujących, stanowiących ostatnią zaporę dla następnego etapu w historji Niemiec, to jest dla III Rzeszy. Rewolucja Francuska, Rewolucja Rosyjska, — ba — nawet poczynania naszego Rządu Lubelskiego dostarczają licznych dowodów, że przewroty społeczne są tylko pozornymi krokami naprzód w układaniu się stosunków między narodami.

Dlatego też pamflet Gollancza nic nowego nie wnosi, nie jest w stanie wnieść cokolwiek do zagadnień europejskich, i conajwyżej może być traktowany jako charakterystyczne i niebezpieczne świadectwo nurtujących "in this country" poglądów.

O "OGNIWIE PRZYJAŹNI"

W ubiegłym miesiącu zakończyło swój żywot w Szkocji czasopismo, które może powinno było ukazywać się nadal w niezmienionej postaci. Mowa tu o tygodniku dwujęzycznym "Ogniwo przyjaźni — Clasp o' Frien'ship", wydawanym w Glasgowie staraniem i pod redakcją p. Jadwigi Harasowskiej, współpracowniczki "Kuriera Warszawskiego" przed wojną. Na miejsce dwujęzycznego "Clasp o' Frien'ship" wychodzi obecnie w języku angielskim dwutygodnik "The Voice of Poland", ale wyznajemy otwarcie : i nazwa poprzednia bardziej się nam podobała i sama zasada dwujęzyczności. Obawiamy się, że "The Voice of Poland" nabierze charakteru *propagandy* jednostronnej, zamiast być wyrazem po prostu *przyjaźni* polsko-szkockiej i polsko-angielskiej.

Oto jakie świadectwo wystawia "Ogniwu przyjaźni" jeden z angielskich przyjaciół "Myśli Polskiej", któremu oddawaliśmy egzemplarze "Clasp o' Frien'ship" otrzymywane w drodze wymiany za "Myśl Polską".

"Z pewnym żalem dowiedziałem się o zamiarze Redaktorki "Ogniwa Przyjaźni" zakończenia wydawnictwa tego czasopisma. Tygodnik ten był bardzo pomocny wszystkim Brytyjczykom, którzy podjęli się trudu nauczenia się polskiego języka, ile że dostarczał im materiałów do czytania tym łatwiej dostępnych, że równolegle obok tekstu polskiego znajdowało się angielskie tłumaczenie. Umożliwiało to im sprawdzanie ich starań zarówno przy tłumaczeniu z polskiego, jak i przez opieranie się na tekście angielskim przy ćwiczeniach pisemnych polskich i porównywanie następnie ich skromnych wysiłków z tekstem w tym czasopiśmie. Identyczne tej samej pomocy doznaliby Polacy uczący się angielskiego przy posługiwaniu się artykułami tego wydawnictwa. Posiadając wszystkie egzemplarze tego pisma, zachowam je starannie, gdyż zawsze mogę po nie sięgnąć w moich studiach językowych.

" Oprócz tych szkolnych korzyści pismo dało jeszcze jeden i to bardzo znaczny rezultat : rozszerzenie perspektywy i pogłębienie stosunków. Można powiedzieć, że przez szerzenie wiedzy o polskości wśród Anglików i Szkotów oraz przez ułatwianie Polakom nauki angielskiego czasopismo oddało usługi, które przyniosą owoce w przyszłości i wykażą, iż istotnie wykute zostało między tym krajem i Polską pradziwe "*Clasp o' Frien'ship*".

"NOWA POLSKA"

W jaki sposób pewni ludzie tu, w Londynie, wyobrażają sobie — Nową Polskę? Na to pytanie stu stronnicowy miesięcznik pod tymże tytułem daje nam określoną całkiem odpowiedź :

"Nowa Polska" zaczyna się od profesora Kota, a kończy na H. G. Wellsie. W środku jest p. Antoni Słonimski i państwo Kuncewiczowie.

Treść ma przeważnie charakter pamiętnikarsko — wspomnieniowy.

Listy do Redakcji :

Londyn, 14 kwietnia, 1942 r.

JESZCZE O DEMAGOGICZNEJ OBRONIE

Szanowny Panie Redaktorze.

Z prawdziwem zainteresowaniem przeczytałem w ostatnim numerze "Myśli Polskiej" list do Redakcji, omawiający przebieg rozprawy w Sądzie Morskim z dnia 9 marca 1942 r.

Ponieważ przysłuchiwałem się całej rozprawie, a powyższy list w swej części sprawozdawczej zawiera pewne nieścisłości, pozwoli Pan, Panie Redaktorze — iż użyję Jego łamów dla bardziej precyzyjnego omówienia przebiegu powyższej rozprawy.

Pan Prezes Adamczyk zakwestjonował moc prawną Ustawy o służbie marynarza z dnia 2.6.1902 r. ponieważ tak zwane "Obwieszczenie," to jest Zarządzenie Ministra Przemysłu i Handlu z dnia 27.4.1933 r. nie przeszło przez Dziennik Ustaw RP.

Uważam, iż powyższa argumentacja jest wartą zanotowania.

Twierdzenie, jakoby Pan Prezes Adamczyk posiadał praktykę w przedsiębiorstwach dorożkarskich — wydaje mi się nieścisłe, wiem natomiast iż p. A. posiada doświadczenie w organizacjach zawodowych pracowników trakcji konnej.

Z całą pewnością przypominam sobie, iż w roku 1940 p. A. proponował zorganizowanie Sądów Polubownych dla spraw zatargów osobistych oraz spraw dyscyplinarnych zachodzących na statkach naszej Marynarki Handlowej, i jako wzór do naśladowania podawał właśnie Sądy Polubowne, działające między właścicielami przedsiębiorstw dorożkarskich a dorożkarzami.

Do zorganizowania takich Sądów jednak nie doszło, gdyż Zarząd Związku Oficerów Marynarki Handlowej, którego mam zaszczyt być sekretarzem, doszedł do przekonania, iż nie wszystkie metody organizacyjne właściwe trakcji konnej, mogą być z pożytkiem stosowane w Marynarce Handlowej.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku

Urban Krzyżanowski.

W dniu 3 maja 1942,
W pierwszą rocznicę zgonu
ś.p.
KAZIMIERZA STEFCZYKA
Pułkownika Wojska Polskiego,
odprawiona zostanie za Jego duszę Msza święta żałobna w Kościele św. Jana w Perth przy ul. Melville o g. 12.30 o czym Przyjaciół i Współrodaków zawiadamia

Rodzina

Od Wydawnictwa "Myśli Polskiej"

Wydawnictwo "Myśli Polskiej" prosi uprzejmie P.T. prenumeratorów i sprzedawców, którzy zalegają z należnościami, o łaskawe wpłacanie zaległych kwot. W razie konieczności wysyłane będą stosowne rachunki. Na wypadek jakichkolwiek wątpliwości prosimy o natychmiastowe skomunikowanie się z Wydawnictwem.

Równocześnie Wydawnictwo dziękuje najserdeczniej wszystkim Przyjaciołom za datki na Fundusz Prasowy i prosi o podtrzymanie i rozszerzenie tej obywatelskiej akcji. Gdyby ktokolwiek z Ofiarodawców nie otrzymał dotąd stosownego pokwitowania, proszony jest uprzejmie o skomunikowanie się listowne z nami.

Wydawnictwo "Myśli Polskiej."

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcji : 92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8. Tel. : PRImrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6 numerów) : 4s. 6d. lub $1.50

Prenumerata półrocznie (12 numerów) : 9s. lub $3.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road,, London, E.C.1 May 1, 1942